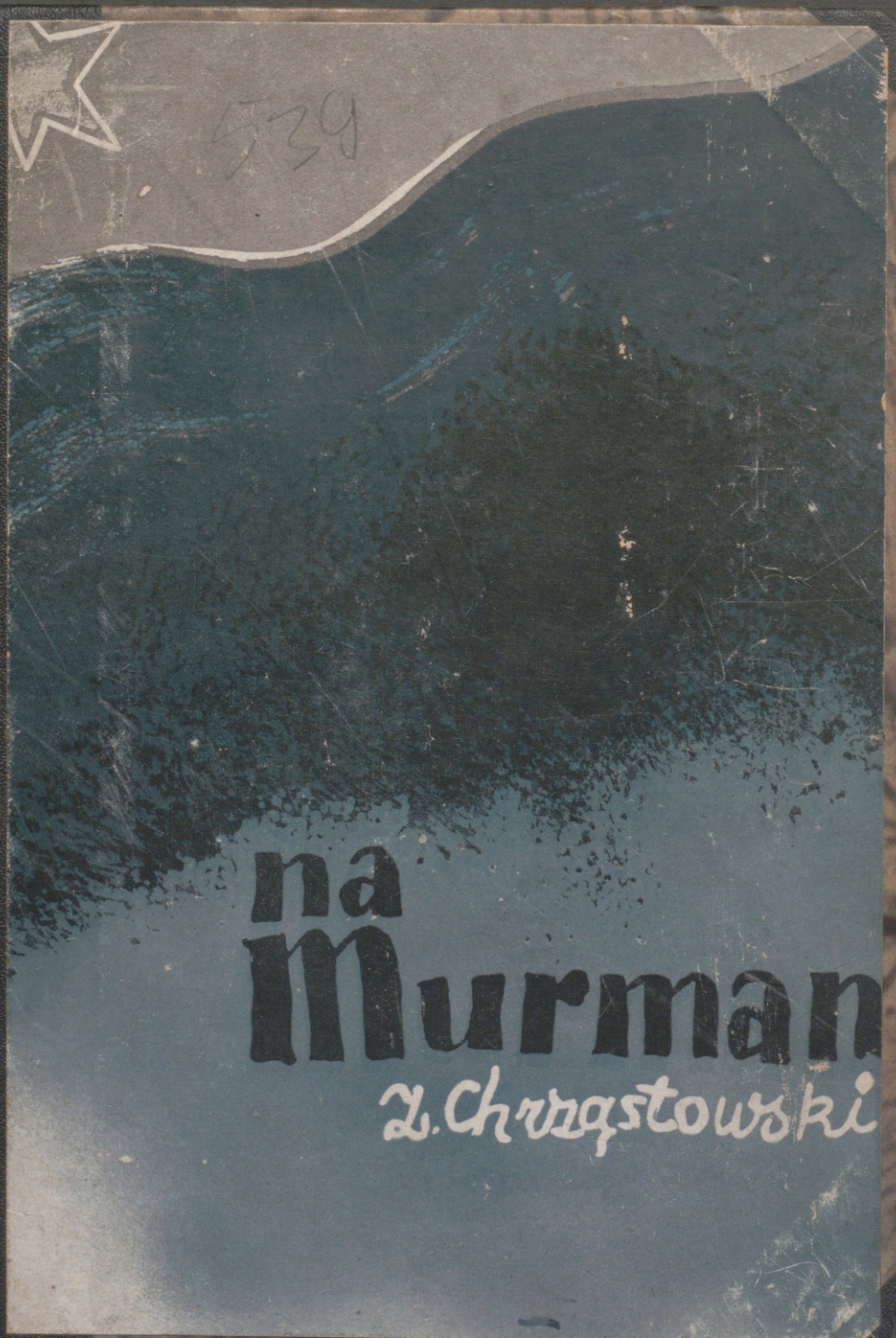


Grey Scale #13



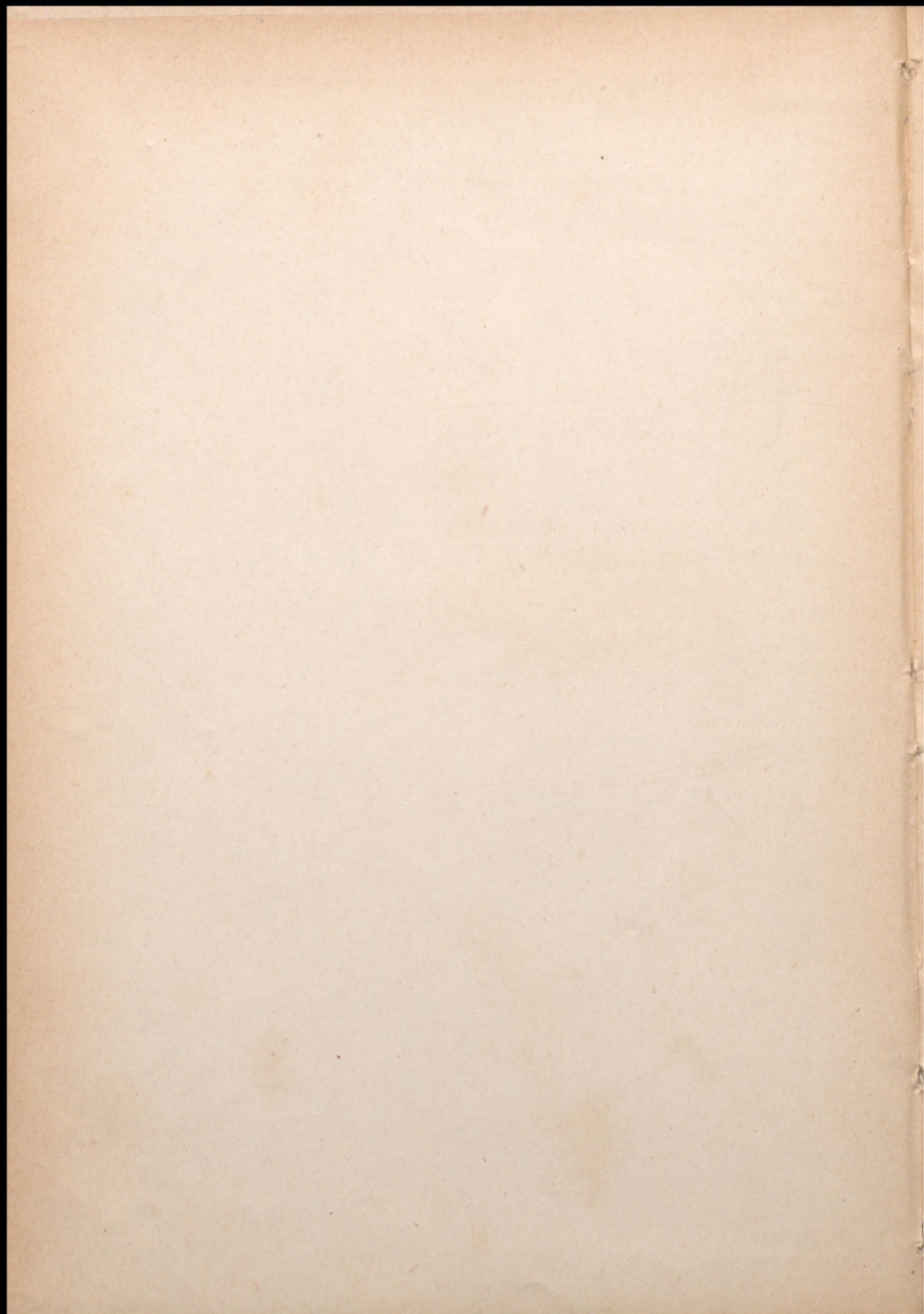
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



539

na
Murman
Z. Chrostowski

N A M U R M A N



L. 3800

ZDZISŁAW CHRZĄSTOWSKI

NA MURMAN

1080

0025

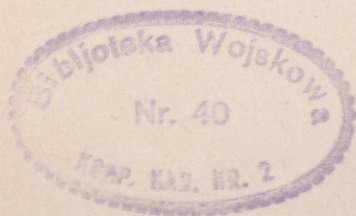
WARSZAWA 1935

GŁÓWNA KSIĘGARNIA WOJSKOWA

884-3 : 8(355)

WSZELKIE PRAWA PRZEKŁADU I PRZEDRUKU ZASTRZEŻONE

L. 3800.



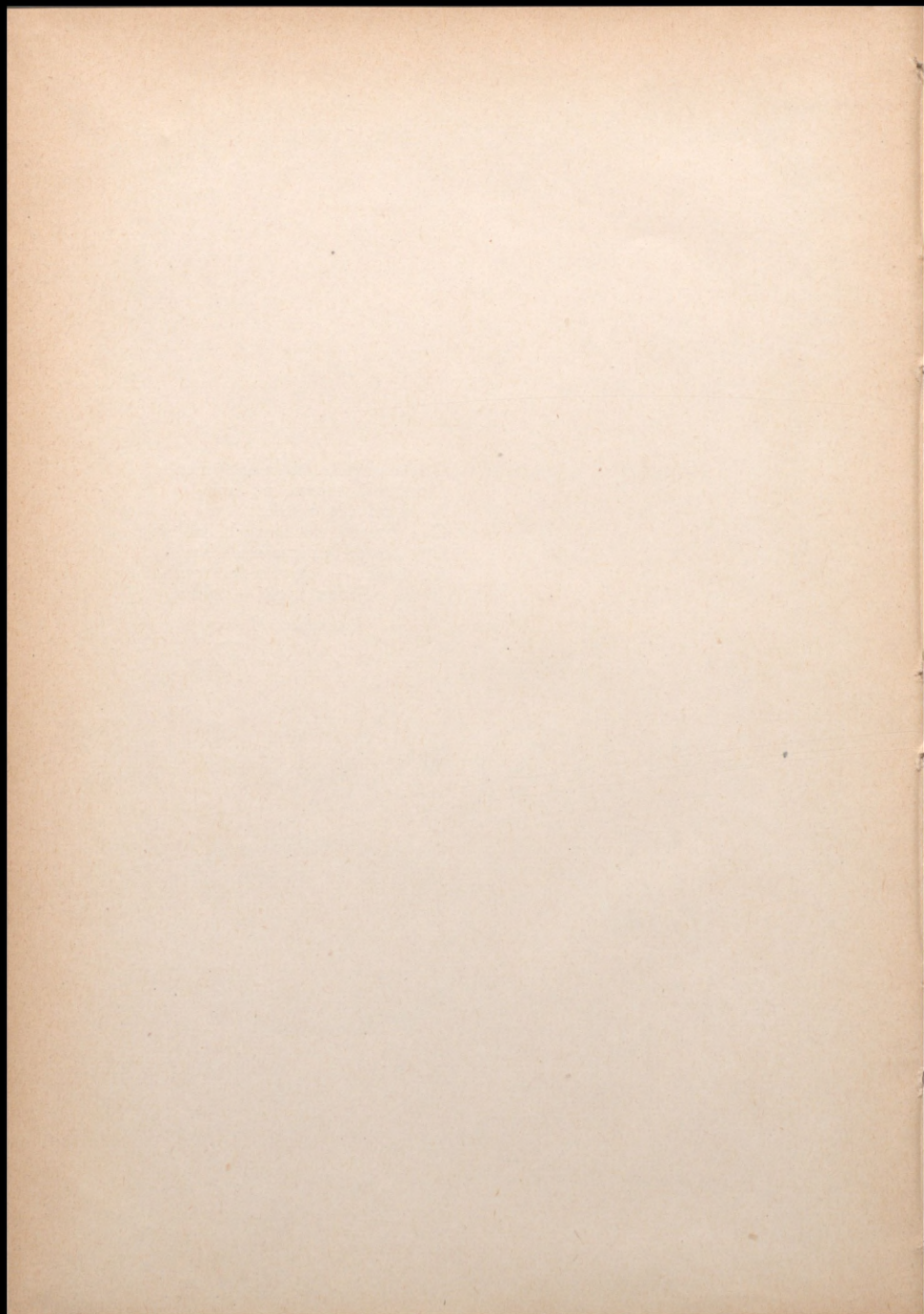
10069 / 1

DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE

MOTTO:

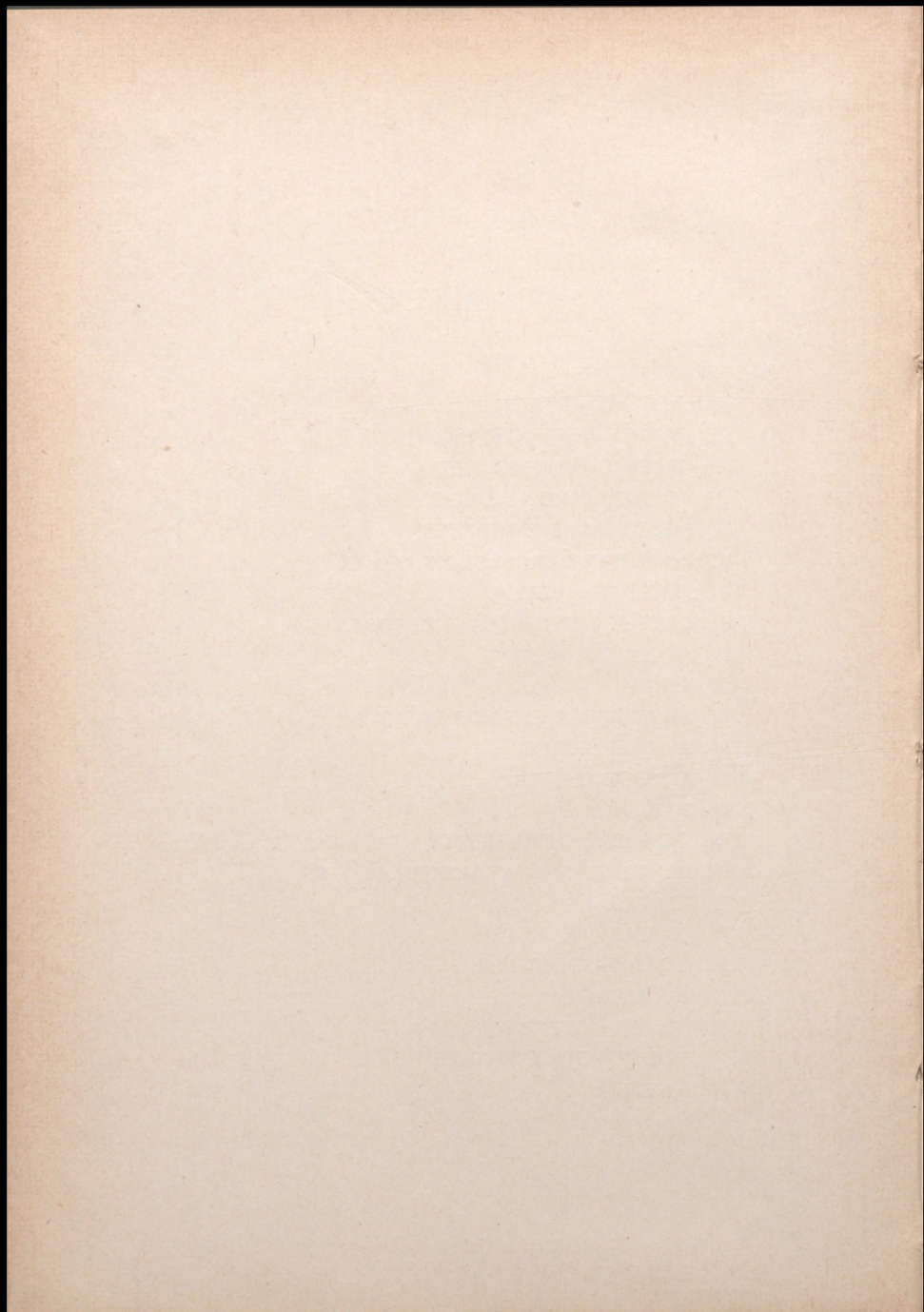
Gdziekolwiek los ciebie niesie,
Morzami, stepem, po lesie,
Naprzód czy wstecz,
Czy pośród kwitnących jabłoni,
Czy pośród cmentarnych krzyży,
Co krok — do Polski wysnionej
Jesteś o jeden krok — bliżej.

Eugenjusz Malaczewski



SPIS RZECZY.

	Str.
SŁOWO WSTĘPNE	IX
I. „...OCIEC — PRACIĆ”	1
II. „JUŻ GOTÓW KOŃ, ZBROJA...”	5
III. GROM Z JASNEGO NIEBA	11
IV. W TRZY STRONY ŚWIATA	18
V. POŻEGNANIE Z PUŁKIEM	25
VI. ROTMISTRZ BRONISŁAW ROMER	34
VII. SKARB TUŁACZY	38
VIII. BARTEK-ZWYCIĘZCA I ZABORCY	44
IX. „WORECZKARZE”	52
X. KIJÓW	56
XI. NA GRANICY DWÓCH ŚWIATÓW	66
XII. W „TIEPŁUSZCE”	73
XIII. NIESPODZIANKA	80
XIV. OAZA	87
XV. „POKAZAĆ DOKUMENTY”	92
XVI. NA GRUZACH TATARSKIEJ POTĘGI	97
XVII. WIATKA	101
XVIII. KOTŁAS	109
XIX. JEDZIEMY NA GAPE	118
XX. KATASTROFA	123
XXI. WIDMO STRYCZKA	127
XXII. „POD TWOJĄ OBRONĘ...”	133
XXIII. U CELU	142



SŁOWO WSTĘPNE.

Długi, męczeński szlak, jakim żołnierze polscy czasu wielkiej wojny zdążali do wolnej ojczyzny, ma przy krańcu swoim etap, pełen niezmiernego patosu dziejowego. Etapem tym jest Murman. Zakuty w obręcz lodów, odgradzony od świata pasem podmokłych lasów — tułaczom z I i II Korpusu Wschodniego, insurgentom z karpackiej II brygady wydawał się marzonym kresem ich ciężkiej po bezmiarach Rosji wędrówki. To było okno na świat — wąskie, dalekie, ale pozwalające odetchnąć świeżym po bolszewickiej stęchliznie powiewem. To była furta, przez którą choć w marzeniach można było powrócić do kraju. Ale nadewszystko — był to punkt, nad którym, obok koalicyjnych sztandarów, łopotał znak z orłem białym. Więc szli, jak urzeczeni, ku tej północy tajemnej, zmagając się z głodem i chłodem, przebierając w najwymyślniejsze odzieże, byle zmylić czujność zawziętych wrogów. Wielu — nie doszło; raczej: doszło — niewielu. Lochy powiatowych czczewiczajek,

mogily zdeptane przy drogach wieleby o tem powiedziec mogly. Zato — triumfem drgaly fanfary, kiedy bataljon murmański defilował wobec stolicy po placu Saskim. Zato — Murman na poczesnem miejscu widnieje na tablicy obok grobu Nieznanego Żołnierza.

Autor wspomnień niniejszych jest ułanem krechowieckim, uczestnikiem sławnej bitwy pod Krechowcami i obrony Stanisławowa. Uparta wola, gorące serce wywiodły go z dworu litewskiego przez służbę rosyjską do szeregów narodowych. Po demobilizacji bobrujskiej, dzieląc pogląd najdzielniejszych jednostek ze swego pułku, postanowił jego istnienie poza kordonem niemieckim uzasadnić orężnie. Z całą konsekwencją gotował się w drogę. Z kilku wiernymi ułanami przebył długą wędrówkę, gdzie lada przypadek, lada potknięcie się równoważne było wyrokowi śmierci. Zdawało się, że już na progu wolności uchwyci go ona w swe kościste szpony. Nie dał się — przeżył po męsku koszmar niepowodzeń i z bronią w rękę, jak żołnierzowi przystoi, wrócił do wolnego od nieprzyjaciela kraju.

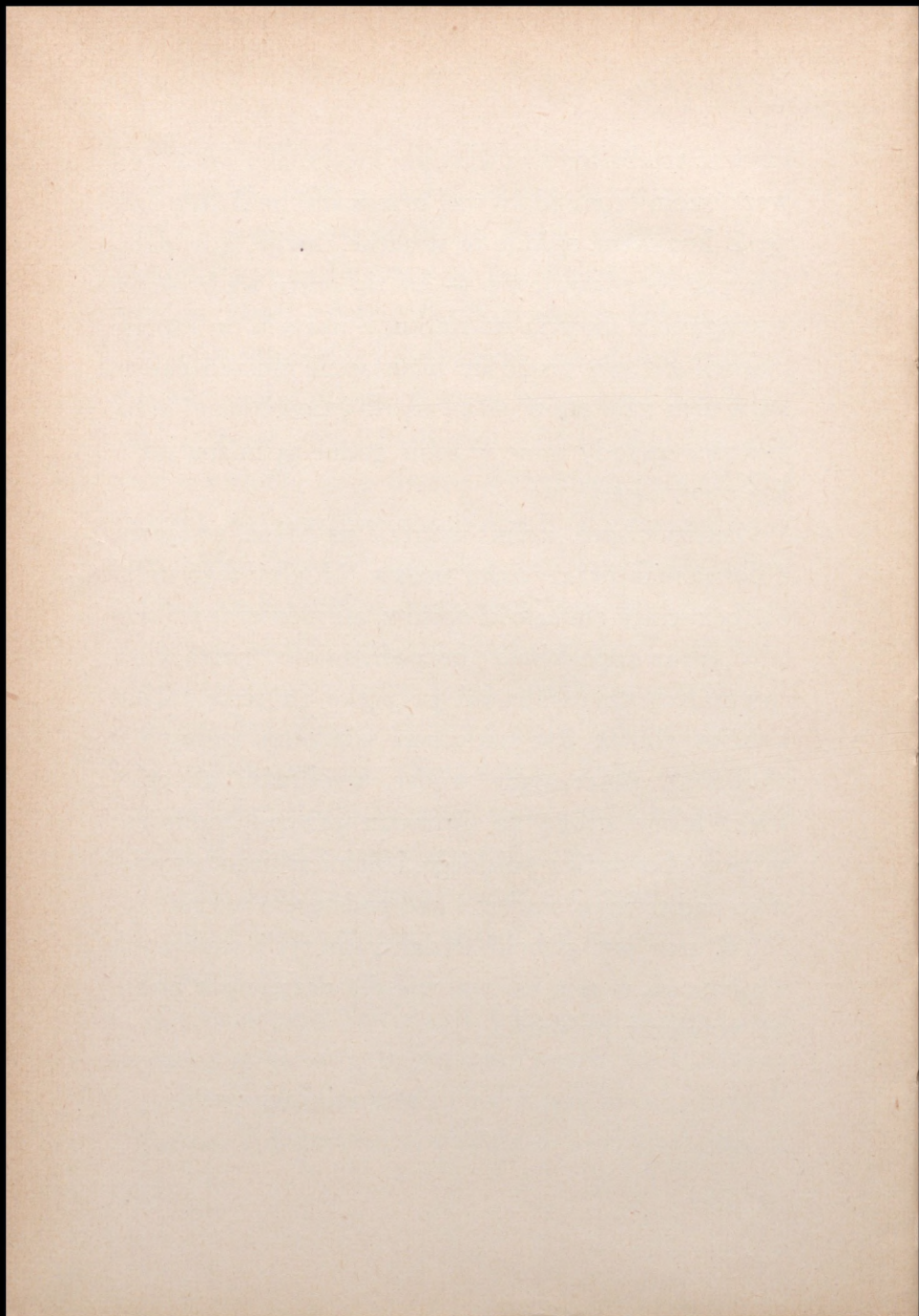
Opowiadanie Zdzisława Chrzastowskiego, przy spokojnym, niezamąconym tonie relacji, ma momenty prawdziwie dramatyczne, choć autor unika ich podkreślania. Z humorem opowiada o wybiegach, jakich

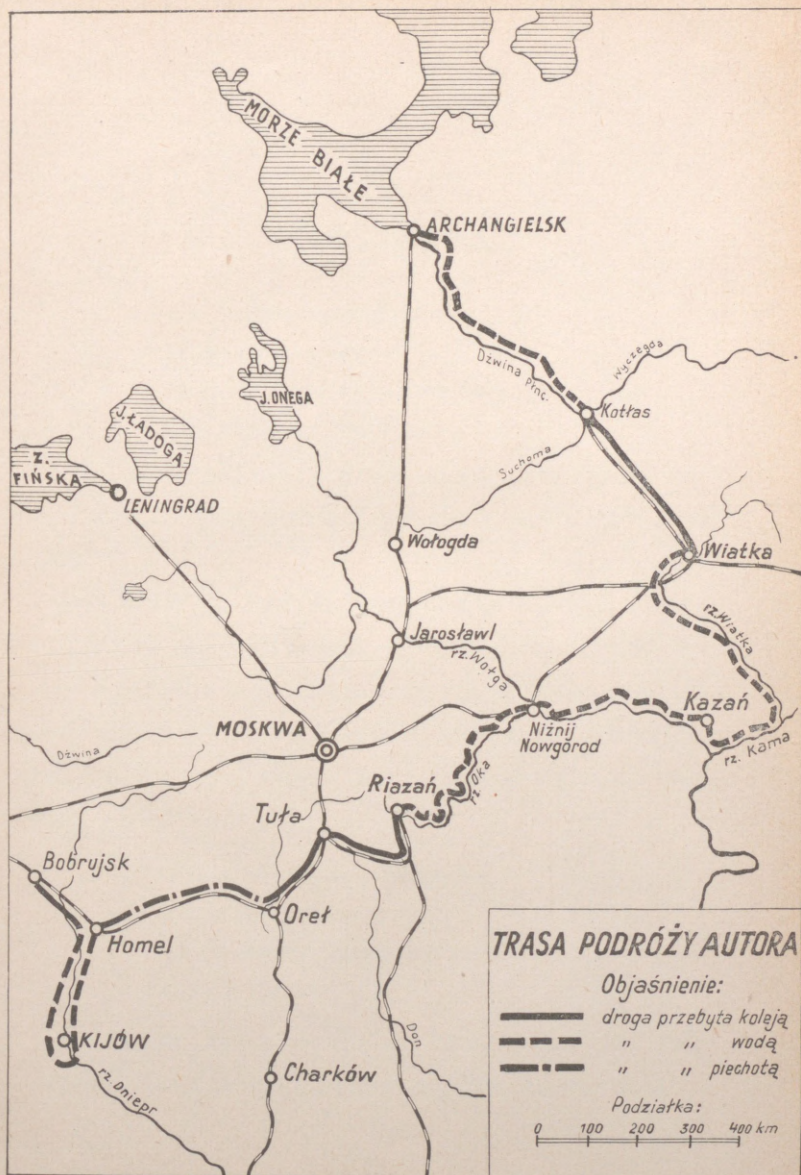
używać trzeba było na każdym kroku, aby sobie i towarzyszom broni zdobywać przepustki na dalszą drogę. Z humorem opisuje te straszne chwile, gdy dobijających — zdawało się — już do portu wędrowców wyciągano z ukrycia na statku, z ukrycia, w którym łańcuch sterowy groził im nieustannie zmiążdżeniem. Są w tem znakomite elementy dla powieściopisarza; niektóre epizody same w sobie godne są miana gotowej opowieści.

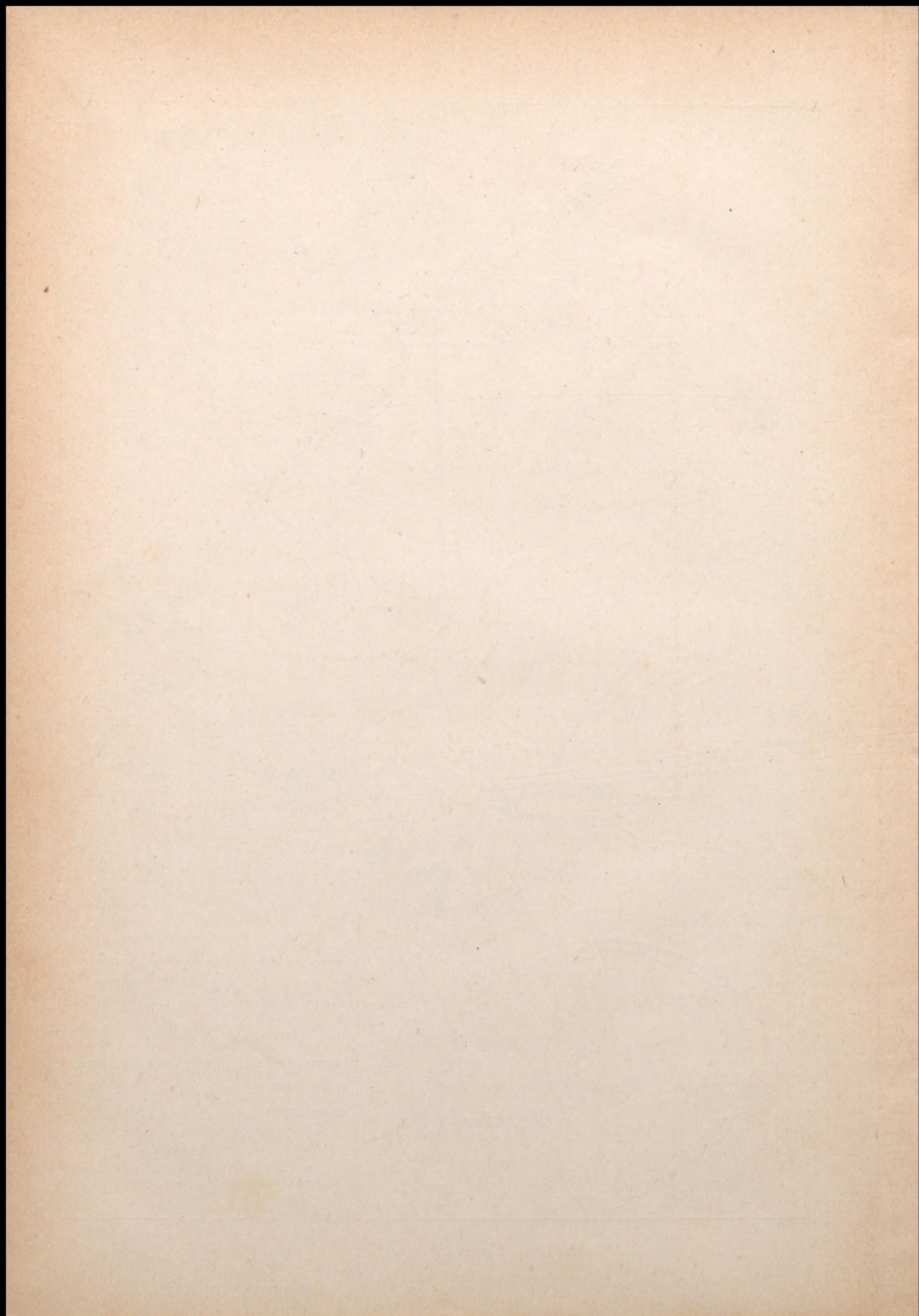
Autor często czyni dygresje na różne, związane z doznaniem przeżyciami tematy. Mógłby tego uniknąć bez straty dla całości opisów, ale wówczas zniknęłaby prawdopodobnie bezpośredniość narracyjna, chwytająca czytelnika od początku za serce. Choć książka dobrze jest napisana, wiadomo, że pisze ją nie literat, puszczający wodze wyobraźni, ale człowiek, który drogę na Murman przeżył, odnosząc w imię obowiązku polskiego i żołnierskiego zwycięstwo nad trwogą, trudem i nad podstępem wroga.

W tem jest głęboki dydaktyzm tych treściwych wspomnień, w tem ich wartość dla następnych pokoleń żołnierzy polskich.

Antoni Bogusławski.







I. „...OCIEC — PRAĆ!”

*Ty dziewczucho, ty Kostucho,
ty ze mnie szydzisz:
ty mnie tylko wtedy kochasz,
kiej mnie nie widzisz...*

— Te, Antek, nie śpiwoj o tej zatraconej i nie wołuj wilka z lasu, bo cię Kostucha gotowa naprawdę ululać!

— Ostaw ją, Antek; Kostucha je koścista i zezowata, a łoże ma też twarde — wtrącił trzeci głos.

— Kostucha mnie tak kocha, jak ja kocham Miemca — odparł Antek — kocham, kiej go nie widzę, ale niech no ino przyjdzie... — i ciągnął dalej na nutę znanego mazurka:

*Wcale nie szydzę, chłopaku,
wcale nie szydzę:
ja cię nawet wtedy kochom,
kiej cię nie widzę...*

— Antka korci — dodał ktoś — że jest taka dziewczka, co się o niego otarła, a gęby mu nie dała!

— Gęby? — powtórzył inny i dorzucił jeszcze jakiś soczysty dowcip, którego nie dosłyszałem. Na to cała czereda ułanów, krzątających się na podwórzu koło koni, zarechotała zdrowym, żywiołowym śmiechem.

Te i tym podobne rozmowy, dowcipy i przyspiewki dolatywały do mnie, gdy w pamiętny majowy dzień roku 1918 siedział na progu kwatery w Popławszczyźnie i rozmyślał nad położeniem naszego pułku i naszego korpusu — I Korpusu Polskiego pod Bobrujskiem.

Sytuacja była — krótko mówiąc — podła. Rok 1918 rozpoczął się wprawdzie pomyślnie. I Korpus Polski generała Dowbor-Muśnickiego, sformowany do walki z Niemcami z byłego Legjonu Puławskiego, jako formacja posiłkowa rosyjska, nie dał się wprawdzie rozbroić zbolszewizowanym wojskom rosyjskim.¹ Zwróciwszy się przeciw dotychczasowym sprzymierzeńcom, korpus pobił ich jeszcze w styczniu. Generał Dowbor opanował przytem twierdzę Bobrujsk i rozlokował się w jej okolicy, niby w samodzielnym państewku. Od trzech miesięcy bolszewicy nie śmieli więcej na nas uderzyć.

¹ Legjon Puławski, jak wiadomo, przemianowany został w r. 1915 w Polską Brygadę Strzelców, w r. 1917 — w Polską Dywizję Strzelców, a następnie — I Korpus Polski, powiększając się odpowiednio liczebnie.

Ale cóż z tego? Powaga sytuacji polegała na tem, że i my byliśmy wciąż między młotem i kowadłem, to znaczy: między frontem wojsk niemieckich i rosyjskich.

Coprawda, z obu stron mieliśmy spokój do końca maja, ale czy to długo potrwa? Już od dwóch dni obiegają głuche wieści, że Niemcy zbierają wielkie siły, aby na nas uderzyć, że nas już otoczyli zwartym pierścieniem wojsk. A tymczasem nasza starszyna, a w szczególności generał Dowbor, nie czynią nic, aby zebrać rozproszone po wsiach oddziały korpusu i być gotowymi do walki.

— Panie poruczniku, melduję, że pan rotmistrz, zastępca dowódcy pułku, wzywa na zebranie oficerskie wszystkich panów oficerów.

Zeskoczyłem z przygodnego łoża i przypasałem szablę.

— Gdzie odbędzie się zebranie? — zapytałem wyprężonego gońca.

— Na cmentarzu pod kościołem — brzmiała odpowiedź.

— Oho! — myślę sobie — coś w rodzaju rady wojennej. Tylko poco te sejmiki? W wojsku najlepiej załatwiać wszystko zawsze tak, jak dotąd, to znaczy: krótko, węzłowato i na komendę. My, jako zebranie

oficerskie pułku, najwyżej możemy uchwalić zapytanie do dowódcy pułku, czy już można prać Niemców. Tak, musimy to uchwalić i o to poprosić, niby te Kiemlicze, co się zawsze pytały: — „Ociec — prać?” — Na to zawsze padała odpowiedź „Prać!” — i zaczynało się pranie.

Oby i teraz tak się stało!



Murmańczycy na froncie.

II. „JUŻ GOTÓW KOŃ, ZBROJA...”

Cmentarz, na którym miała się odbyć ta rzekoma rada wojenna, leżał na drugim krańcu wsi. Na zakręcie spotkałem chorążych Milewskiego i Litewskiego, i poszliśmy dalej razem.

Idąc między opłotkami, przyglądałem się naszym ułanom. Panowała wśród nich rzucająca się w oczy radość i pewnego rodzaju podniecenie. Dzień był jasny, pogodny, majowy; konie, rynsztunek, broń, ludzie — wszystko stłoczone na podwórkach zaścianka, pod gołym niebem. Wszyscy krzatali się koło koni i rzędów, każdy gorączkowo doprowadzał je do porządku.

W powietrzu czuć było nie tylko słodkie odurzenie wiosną, ale i surowy nastrój wojenny, zwiastujący lada chwila wyruszenie do walki — bodaj na alarm.

I, rzeczywiście, żyliśmy ostatnio w ustawicznym oczekiwaniu tego alarmu. Mógł być zaraz, natychmiast. A że od początku wojny światowej żołnierz był zaprawiony do boju, otrząskany z niebezpieczeń-

stwem i z niejedną sytuacją „bez wyjścia“, z której jednak sobie to wyjście wyrębał — przeto długi, trzymiesięczny odpoczynek pod Bobrujskiem zaczął już go nużyć. Nadto niektóre szwadrony rekrutowały się przeważnie z Antków warszawskich, zawsze pewnych siebie, kutych na cztery nogi, pełnych humoru i werwy, a wisusów niepoprawnych.

Ot, i teraz zdaleka dobiega mnie fragment piosenki, śpiewanej chórem o oficerach pułku, w której każdemu z nas przypięto łatkę:

*Wielmożny panie
kornecie Rekecie,
coś ci się nie siedzi
na tym końskim grzbiecie...*

To śpiewają o koledze naszym, nazwiskiem Rekeć. Kornetowi, czyli podporucznikowi, Rekeciowi sprzedałem w swoim czasie piękną kasztanową klacz „Niemkę“, która miała zwyczaj stawania dęba. Nadmienić muszę, że Rekeć znany był ze swej wyniosłej miny i wyjątkowo słabego dosiada w siodle. Otóż moja „Niemka“ rymnęła Rekeciem o ziemię, przechodząc w ten sposób wraz ze swym jeźdźcem do historii.

A oto śpiewają i o mnie:

*Jest u nas porucznik,
Zwany Aeroplanem;
Przyjechał tu do nas
Z bardzo dobrym planem...*

(niby z planem wyszkolenia i zdyscyplinowania ułanów do walki z Niemcami).

*Chce on bardzo zrobić
Z nas dobrych ułanów,
Lecz się nie boimy
Niemców ni Aeroplanów.*

Twórcą tej piosenki był plutonowy Gadzin — ten sam Gadzin, który pod Krechowcami wyniósł z pod kul swego dowódcę szwadronu, porucznika Zboromirskiego, rannego zresztą wówczas śmiertelnie. Nawiasem mówiąc, tuż przed bitwą Gadzin ułożył piosenkę na tegoż Zboromirskiego.

Tak to chwile największego napięcia bojowego, chwile ciężkie i dramatyczne, przeplatano jednak zawsze humorem i dowcipem.

Łatki, przypinane oficerom w tych piosenkach, zwanych „tumbaryjkami“, nie były nigdy zbyt złośliwe — niemniej, formalnie biorąc, sprzeciwiały się przepisom dyscypliny. Jakkolwiek więc my, oficerowie

wie, patrzyliśmy zawsze na to wykroczenie przez palce, jednak ułani nigdy „tumbaryjek“ nie śpiewali w obecności oficerów, chyba na ich wyraźne życzenie.

Więc i teraz, w miarę, jak się zbliżam, piosenka cichnie, ułani zrywają się i stają na baczność. Zdaleka jednak poznałem pierwszy głos tego chóru. To ułan, zwany Moryc — pierwszy śpiewak, uwodziciel i zuch pierwszego szwadronu, w którym dowodziłem niegdyś plutonem. Moryc był takim samym kpiarzem i piosenkarzem wśród szeregowych, jakim wśród oficerów był Antek Bogusławski.

— Czołem! — przywitałem się z Morycem.

— Czołem, panie poruczniku! Panie poruczniku, czy prędko każą siodłać konie?

Za całą odpowiedź wzruszyłem ramionami, bo cóż mogłem pewnego odpowiedzieć? Byłem jednak uszczęśliwiony, widząc tę werwę mazurską i kipiącą wprost w oczach zawadjacką chęć walki z Niemcami.

I nie tylko w oczach Moryca. Widziałem ją w oczach wszystkich wokoło wiarusów.

Jakże wszystkie te twarze są mi dobrze znane! Tego oto znam jeszcze z Babina, tego — ze Swojatyń; ów wąsał odznaczył się pod Krechowcami, a z tym znów przebijaliśmy się pod Tłumaczem zpo-

wrotem do pułku, powracając z dalekiego podjazdu na niemieckie tyły.

A oto poważnie kroczy jeszcze jeden weteran, wachmistrz Przybysz-Petrykowski, o szerokiej, ogorzalej, wąsatej twarzy, z groźnym marsem na czole, a z dziecięcą niemal poczciwością w niebieskich oczach, prawa ręka swego dowódcy szwadronu, porucznika Zygmunta Podhorskiego. Patrząc na niego, wyobrażałem sobie zawsze, że tak właśnie musiał wyglądać sienkiewiczowski wachmistrz Soroka, dla ocalenia którego Kmicic gotów był poświęcić życie i butę szlachecką.

Właściwe jego nazwisko brzmiało Petrykowski; Przybysz — to był pseudonim. Wachmistrz musiał go przybrać, aby go Rosjanie nie odnaleźli i nie rozstrzelali za dezercję. Zdezerterował bowiem w roku 1915 z rosyjskiego pułku huzarów, aby zostać ułanem w naszym pułku, świeżo wówczas sformowanym i składającym się tylko z dwóch szwadronów, czyli dywizjonu. Osobliwy to był zresztą dezterter z tego Przybysza, bo jego pułk rosyjski szedł wówczas na tyły, na odpoczynek, podczas gdy nasz właśnie krwawił się na froncie.

Dziś od samego świtu wachmistrz sprawdzał stan koni, a zwłaszcza grzbiety, nogi i kucie, oglądał rzędy

końskie i doprowadzał do porządku tabor szwadronu, składający się z kuchni polowej oraz wozów: furazzo-
wego, bagażowego i kuchennego. Specjalną pieczę roz-
toczył dzisiaj nad amunicją ostrą — będzie przecież
lada chwila potrzebna!

A teraz idzie właśnie meldować swemu dowódcy
szwadronu, że „wszystko gotowe“.



1. p. ułanów w okopach.

III. GROM Z JASNEGO NIEBA.

— Panowie, w imieniu dowódcy pułku zagajam to zebranie — mówił zastępca dowódcy pułku, rotmistrz Feliks Dziewicki, wśród zupełnego milczenia trzydziestu z górą oficerów. — Zaznaczam, że dowódca pułku nie pyta panów o decyzję. Zagajam zebranie poto, żeby wyjaśnić panom sytuację i zapoznać wszystkich z decyzją, która już zapadła.

Otóż Niemcy zażądali rozbroyenia Korpusu. Generał Dowbor warunki niemieckie przyjął i rozkazał pułkownikowi Suszyńskiemu przygotować demobilizację pułku. Dowódca pułku przyjął ten rozkaz do wykonania, jako żołnierz, i tego samego oczekuje od panów.

Niepodobna opisać wrażenia, jakie wywarły te słowa na wszystkich obecnych i na mnie. Kiedyś czytałem ponury opis ceremonji pogrzebu hetmana Konięcpolskiego, dokonanej według dawnych polskich zwyczajów. Przed pogrzebem znakomitego rycerza, podczas mszy żałobnej w kościele, wjeżdżał do wnętrza

trza konno, jako sobowtór zmarłego, czarny rycerz, zakuty w zbroję, z zapuszczoną przyłbicą i z kopją w rękę. Pośrodku kościoła rycerz walił się z hałasem z konia na posadzkę, a wówczas na katafalku łamano jego kopję i godło. Miałem uczucie, że jestem właśnie na takim pogrzebie, że łamią się tym razem — здаwałoby się twarde, jak opoka — dotychczasowe hasła ideowe, że zapadają się gdzieś w nicość — nie! gorzej, niż w nicość, bo na dno hańby! — nasza sława bojowa i wszystkie nadzieje.

Jakto? Więc mamy złożyć broń, i to teraz właśnie, gdyśmy odbyli długą i krwawą wędrówkę po tyłu polach bitew? Mamy się poddać po Stanisławowie, po Krechowcach i zdobyciu Bobrujska?... Był czas, że istniało wiele wątpliwości, czy należy tworzyć wojsko polskie po stronie koalicji z Francją na czele, to znaczy z pomocą Rosji, czy po stronie Austrii i państw centralnych, czy też należy je tworzyć i tu, i tam, i wszędzie, gdzie tylko się da. Natomiast dziś, gdy wódz legionów polskich po stronie Austrii sam wydał rozkaz rozwiązania ich i sam założył przeciwniemiecką tajną Polską Organizację Wojskową, gdy wtrącono go za to do kazamat Magdeburga, gdy zjazdy wojskowych-Polaków w Petersburgu przybrały go za swego honorowego prezesa, a II „że-

lazna“ brygada legionów przebiła się przez front niemiecki na Ukrainie i walczy już ponoć z Niemcami gdzieś pod Kaniowem czy Kijowem — to dziś właśnie każą nam rezygnować z wojska polskiego na wschodzie? Przenigdy!

W tym sensie mówiliśmy a raczej krzyczeli, jeden przez drugiego, my, młodzież pułkowa, na zebraniu, i zdawało się, że wszystkie zdania będą jednomyślne i że nic nie powstrzyma pułku od walki z Niemcami.

Lecz zastępca dowódcy pułku w pewnej chwili przerwał i mówił dalej:

— Otóż właśnie dlatego, że Józef Piłsudski jest w Magdeburgu, że jego organizacja P. O. W. nie jest jeszcze gotowa do walki, że wielka bitwa we Francji, toczona nad Marną przez Niemców ostatnim wysiłkiem, nie jest jeszcze przez nich przegrana — właśnie dlatego musimy jeszcze z walką poczekać. Walka natychmiastowa z Niemcami, tu, pod Bobrujskiem, oznaczałaby natychmiastowe powstanie przeciw Niemcom w kraju — powstanie, które dziś zostałoby utopione w morzu krwi. A jednak powstanie to uda się i doprowadzi do niepodległości Polski, o ile zostanie podjęte w odpowiedniej chwili. Chwila ta nastanie wówczas, gdy Niemcy zostaną już pokonane przez

koalicję na Zachodzie, a P. O. W. odzyska swego wo-
dza i wzmocni siły.

Zresztą co innego było walczyć z Niemcami na
wschodzie, póki walczyli przeciw nim Rosjanie, a co
innego dziś, gdy bolszewicka Rosja po rewolucji za-
warła z Niemcami pokój brzeski i postawiła nas sa-
mych między młotem i kowadłem, a przytem czyha
na sposobną chwilę, aby uderzyć na korpus od tyłu.
Niepodobna więc wszczynać przedwczesnej i bezna-
dziejnej walki na dwa fronty.

Dlatego też panowie, jeśli chcą, mogą podążyć
indywidualnie lub partjami przez Murman do Fran-
cji, by bić się z Niemcami nad Marną lub też mogą je-
chać nad Don, na Kaukaz, czy Syberję i tam w wal-
kach z bolszewikami kontynuować dzieje oręża pol-
skiego i naszego pułku. Tu bić się nie wolno. Tu jest
rozkaz, aby wykonać układ, zawarty z Niemcami.
Rozkaz ten trzeba ściśle wykonać zarówno dla dobra
kraju, jak w imię zachowania dyscypliny wojskowej
wobec naszego dowódcy korpusu i wobec Polskiej
Rady Regencyjnej w Warszawie, która również tego
od nas oczekuje.

Zresztą to, czego wymaga się od panów — to
wcale nie haniebne poddanie się i pójście w niewolę.
Przeciwnie, w myśl dobrowolnej umowy między ge-

nerałem Dowborem i Niemcami, będzie to tylko demobilizacja oddziałów, po której wszyscy oficerowie i żołnierze zachowają wolność osobistą i całkowitą swobodę ruchów oraz decyzji co do dalszego pokierowania swoją osobą w kraju czy zagranicą. Konie zostaną sprzedane Niemcom; uzbrojenie korpusu, jak działa, karabiny maszynowe i t. d., Niemcy obowiązują się przekazać Radzie Regencyjnej, która użyje ich niewątpliwie na wzmocnienie swej siły zbrojnej, zwanej Wehrmachtem, istniejącej w kraju. Nie mamy podstaw sądzić, że Niemcy nie dotrzymają umowy,¹ a wówczas broń ta ponownie dostanie się do rąk polskich żołnierzy. Powstanie się zbliża, a więc — czekać i wytężyć słuch!

Po raz drugi zapanowało głucho milczenie, które tym razem zwiastowało zwycięstwo rozkazu. Po raz drugi miałem uczucie, że jestem na pogrzebie naszej sławnej przeszłości rycerskiej. Spojrzałem na kolegów — myśleli i czuli tak samo. Mieliśmy ochotę wyjąć nasze szable i strzaskać je, jak trzaskano niegdyś kopje na katafalkach. Lecz nie! Poczekamy z tem jeszcze! Szable nasze mogą jeszcze się przydać! Termin

¹ Wkrótce okazało się, że Niemcy jednak tej umowy nie dotrzymali i broń korpusu użyli wyłącznie na potrzeby armji niemieckiej.

nakazanej demobilizacji korpusu jest odległy. Naradzimy się jeszcze jutro i pojutrze.

Gdyśmy ustalali godzinę i miejsce następnych obrad, gdyśmy prosili rotmistrza Dziewickiego, aby przedstawił nastrój nasz i ułanów dowódcy pułku — nagle za ogrodzeniem instrumenty trębaczy pułkowych buchnęły huczną i dziarską melodją bojową.

Co znaczył ten krok trębaczy? Kto ich zebrał, kto ich przyprowadził pod cmentarz i kto im kazał grać właśnie to, co grali? Nie ulegało wątpliwości, że uczynili to samorzutnie, pod wpływem ogólnego nastroju bojowego w pułku, i poto, aby dać temu nastrojowi wyraz. Bowiem melodia, która rozdarła wieczorną ciszę i wtargnęła na nasze smutne obrady, była pieśnią boju i zwycięstwa: „Hej, kto Polak, na bagnety!“. Ułani nasi byli zbyt karni, ażeby przysyłać na zebranie oficerskie delegatów z jakimikolwiek żądaniami. Obmyślili przeto demonstrację niemą, ale jakże głośną i potężną!..

Zastępca dowódcy pułku nie czekał jednak na elektryzujący wpływ „Warszawianki“.

— Panowie, że ułani nasi prą do walki — to nic nowego, tak samo, jak nic nowego, że prą do walki oficerowie. Byłoby smutne, gdyby mogło być inaczej. Ale również byłoby smutne, gdyby oficerowie, zwa-

szcza starszyzna, szli ślepo za głosem serca wbrew wszelkim rachubom politycznym, wbrew rozsądkowi i rozkazom przełożonych.

Zresztą — przerywam dzisiaj zebranie i wyznaczam dalszy ciąg obrad na jutro.

IV. W TRZY STRONY ŚWIATA.

Słowa zastępcy dowódcy pułku nie przekonały nas wcale. Cóż stąd, że ci, co byli w legjonach w kraju spełnili chwalebnie swój obowiązek i że ofiarnie szukają się do spełnienia go nadal, według warunków, jakie istnieją w kraju w chwili obecnej i jakie zaczną istnieć wkrótce! Nie zwalnia to tych, którzy są poza krajem, aby walczyli dalej do upadłego. Pod tym względem byliśmy prawie jednomyślni. Niestety, nie było jednomyślności co do tego, gdzie, z kim, kiedy i jak walczyć. Wobec tego nie było innej rady, jak podzielić się po demobilizacji na grupy i rozwiązać to zagadnienie wedle indywidualnych poglądów i własnego sumienia.

Minęły godziny rozpacz i wściekłości na wszystkich i wszystko, a w szczególności — na winowajców tego, co się stało z korpusem. Minęły bezsenne noce, trawione na naradach z kolegami co robić dalej, i chwile głębokiego żalu nad tymi oficerami korpusu, którzy strzelali sobie w łeb, nie mogąc przeżyć hańby

złożenia broni w ręce Niemców. Bo inne pułki korpusu pragnęły walki z Niemcami, tak samo, jak my, i wierzyły w nią, a rozkaz rozbrojenia zaskoczył je, tak, jak nas, zupełnie niespodzianie. To też to, co działo się u nas, powtórzyło się niemal we wszystkich pułkach. Ogólne wzburzenie wyrażało się w rozmaitych formach. W Bobrujsku zbuntowała się przeciw generałowi Dowborowi pod wodzą legionisty, pułkownika Barthy, część niektórych oddziałów garnizonu. Ruch ten jednak spalił na panewce. Większość oddziałów potępiła wprawdzie decyzję rozbrojenia, jednak uważała za żołnierski obowiązek zachować do końca dyscyplinę i słuchać przełożonych.

W pułku takim, jak nasz, również było niemożliwością chwycić się otwartego buntu i wystąpić przeciw pułkownikowi Suszyńskiemu, szanowanemu, ceniómu i kochanemu powszechnie dowódcy.

Dowódca pułku był dobrym żołnierzem i patryotą, ale nie był politykiem i ślepo szedł za rozkazami, nawet wtedy, gdy nosiły polityczny i decydujący dla sprawy narodowej charakter. Niestety, i generał Dowbor, dzielny żołnierz i wybitny generał, nie był mężem stanu, chociaż działał niewątpliwie w dobrej wierze, biorąc odważnie na swe barki ciężką i gorzką odpowiedzialność.

Tymczasem położenie wymagało tu właśnie wo-
dza i męża stanu w jednej osobie, bo tylko taki mógł
wyprowadzić nas z sytuacji politycznej i wojskowej,
w jakiej znalazł się korpus, wzięty we dwa ognie przez
zaborcze mocarstwa. Takim mógł być nieodżałowanej
pamięci „wódz i statysta“ — jakby powiedziano o nim
w dawnych czasach — na miarę zaiste hetmańską, po-
legły jeszcze w zimie poprzedni dowódca naszego
pułku, pułkownik Bolesław Mościcki. Gdyby on żył,
nie ulega wątpliwości, że do rozbrojenia nie doszłoby.
Osobiście sędzę, że korpus przekroczyłby Dniepr, po-
maszerował poprzez Rosję gdzieś ku Wołogdzie i na
północ od Moskwy połączył się z desantem wojsk
francuskich i angielskich, które lądowały właśnie na
Murmanie, aby maszerować stamtąd na południe,
z zamiarem zdobycia Moskwy.

Ale pułkownika Mościckiego zabrakło.

A przecie korpus przedstawiał poważną siłę bo-
jową. Żołnierz był bitny, a wśród oficerów — takie
nazwiska, jak Iwaszkiewicz, Rządkowski, Żeligowski,
Wecki, Anders i wielu innych. Wprawdzie ta część
szeregowych, która świeżo przybyła z szeregów zgan-
grenowanej armii rosyjskiej, potrzebowałaby jeszcze
pewnego czasu, aby przejść szkołę i wyzbyć się tego,
cośmy nazywali „bolszewicką zarazą“, lecz trzon

wojska był zdrowy i mocny. Dobra też była z ma-
lemi wyjątkami kadra oficerska wszystkich broni.

Jeżeli chodzi o ideologję przeciwniemiecką, we-
terani sławnych bojów pod Pakosławiem, Zelwą, Hu-
siatynem i Krechowcami nadawali ton i duch całemu
korpusowi.

Że taki przemarsz przez Rosję z bronią w rękę nie
był niemożliwością, świadczył o tem czyn 3-ciej dy-
wizji korpusu generała Dowbora, dokonany pod wo-
dzą generała Iwaszkiewicza zaledwie przed kilku
miesiącami. W chwili wybuchu rewolucji bolszewic-
kiej dywizja ta formowała się w centrum Rosji, w oko-
licy Jelni, podczas gdy reszta I korpusu koncen-
trowała się już w okolicach Mińska Litewskiego. Gdy
w styczniu roku 1918 I korpus został zaatakowany
przez bolszewików, którzy próbowali go wówczas
rozbroić, 3-cia dywizja była zupełnie odosobniona
i oddzielona od reszty korpusu przestrzenią czterystu
zgórą kilometrów. I oto stała się rzecz zupełnie nie-
prawdopodobna. Bolszewicy, rozporządzając nie-
ograniczonemi masami ludzi i sprzętu wojennego,
odziedziczonego po armji carskiej i armji Kiereńskiego,
nietylko nie zdołali rozbroić parotysięcznej wów-
czas 3-ciej dywizji, ale nie zdołali powstrzymać jej
marszu na zachód. Generał Iwaszkiewicz przebył

wówczas olbrzymią przestrzeń od Jelni do Bobrujska, rozbijając po drodze każdy oddział, który próbował mu zastąpić drogę, i po kilku tygodniach marszu, godnego pióra Ksenofonta, złączył się pod Bobrujskiem z resztą korpusu. Marsz ten był tem trudniejszy, że odbył się wśród zimy, przy braku środków zaopatrzenia, żywności, amunicji, i jakiegokolwiek sprzętu wojennego, o chłodzie i głodzie, a w okresach odwilży — przy forsowaniu licznych rzek bez środków saper-skich.

Fakt ten dowodzi, do jakiego stopnia Rosja była kolosem na glinianych nogach, osłabionym nadto w owej chwili przez rewolucyjną gangrenę.

Mimo to, w braku wodza, trzeba było zrezygnować z wszelkiego wystąpienia zbiorowego. Za żadną cenę nie chcieliśmy bowiem dopuszczać do bezcelowego buntu i rebelji, któraby poderwała dobrą sławę dyscypliny ułana z pod Krechowiec.

Natomiast nie zrezygnowaliśmy z dalszej akcji, kontynuowanej indywidualnie i partjami. Kto więc wierzył w istnienie desantu koalicyjnego na Murmanie, szykował się do podróży na Murman. Kto wierzył w odrodzenie wojska polskiego w ramach rosyjskiej armji generała Aleksiejewa,¹ tak zwanej „białej

¹ Armja ta przeszła niebawem pod dowództwo rosyjskiego generała

armji ochotniczej“, kierował się nad Don lub na Kaukaz. Kto wierzył w szybsze, niż obca interwencja, samorzutne powstanie w kraju, wstępował do P. O. W. i wybierał się do kraju.

Mieliśmy tedy rozjechać się w trzy strony świata i różnemi drogami szukać drogi do Polski niepodległej.

Denikina, który zawarł sojusz z koalicją i wobec niej zobowiązał się do formowania autonomicznych oddziałów polskich.



Ś p. rotmistrz Maciej Starzeński, rozstrzelany w drodze na Murman.

V. POŻEGNANIE Z PUŁKIEM.

Postanowiliśmy tedy udać się na Murman. Od postanowienia do wykonania nie było jednak blisko. Początkowo wyobrażałem sobie, że skoro Niemcy przyjdą na teren korpusu i gdy już naprawdę wszystko będzie stracone, każę w nocy osiodłać luzakowi moją klacz „Hardą“, przekradnę się nad Dniepr, skoczę do rzeki, przepłynę przez nią i w ten sposób powiem Szwabom do widzenia. Była to pierwsza myśl, która strzeliła mi do głowy na pamiętnym zebraniu w Popławszczyźnie. Ten sposób wyjścia z sytuacji nie był zresztą pozbawiony młodzieńczego romantyzmu. Przypominam sobie ustęp z „Pana Tadeusza“ o chłopcu, który posłyszał wieści o legjonach i...

*...znikał nagle z domu,
Lasami i bagnami skradał się tajemnie,
Ścigany od Moskali, skakał kryć się w Niemnie
I nurkiem płynął na brzeg Księstwa Warszawskiego,
Gdzie usłyszał głos miły: „Witaj nam, kolego!“*

*Tak przekradł się Górecki, Pac i Obuchowicz,
Piotrowski, Obolewski, Różycki, Janowicz,
Mierzejewscy, Brochocki i Bernatowicze,
Kupść, Gedymin i inni, których nie policzę.
Opuszczali rodziców, i ziemię kochaną,
I dobra, które na skarb carski zabierano...*

Pamiętam, jak zaczytywałem się temi rzeczami, gdy, będąc małym sztubakiem, dostałem od matki na urodziny „Pana Tadeusza“.

Tom ten był dla mnie cenny podwójnie. Najpierw, wydany w roku 1834 w Paryżu, stanowił antyk, i to antyk nielegalny, zawierający wszystkie ustępy, skreślone przez cenzurę rosyjską w wydaniach późniejszych, a które dopiero po roku 1905 cenzura ponownie zaczęła dopuszczać.

Po drugie zawierał następującą dedykację matki:

„Ukochanemu synowi z życzeniem, aby był zawsze dobrym i prawym Polakiem.

Teodorów, dnia 25 lipca 1905.

Stanisława Chrzastowska.“

Jak na małego wisusa, dziwnie często do tego „Pana Tadeusza“ zaglądałem. Od chwili otrzymania upominku przestały mi imponować moje dawniejsze bo-

haterstwa chłopięce, jak wspięcie się na szczyt najwyższej teodorowskiej lipy, ubicie z floweru pierwszej wrony, przywodenie bandzie chłopaków z pośród służby dworskiej, na której czele wykradałem przez wysoki parkan jabłka matce we własnym ogrodzie. Z temi jabłkami (miałem wówczas lat ośm) było naprawdę zabawnie. Mogłem je jeść, rzecz prosta, w bród u stołu lub w ogrodzie. Cóż, kiedy mi nie smakowały! Smakowały mi tylko „zdobyczne“. Zdobywałem je tedy chyłkiem w nocy od zewnątrz przez parkan, jak mi się zdawało wówczas, zręcznością i odwagą. No, a głównie kapitalny kawał, polegający na tem, że na czele nieuchwytnej, tajemniczej bandy, pustoszącej ogród, który należał — jak mówiła litewska nasza służba — do „ponios“ (t. j. do pani), stał nie kto inny, jak „ponajtis“ (panicz)!...

I to, jak się rzekło, przestało mi w pewnej chwili imponować, tem bardziej, że wkońcu dostałem... w skórę.

Stracił też wszelki urok skok do kąpieli w rzeczce Ańczy „pod krętem“, co w narzeczu Polaków na Żmudzi miało oznaczać: „pod urwiskiem“. Ańcza miała tylko kilkanaście kroków szerokości; Francuzów nie było nigdzie, a najbliżsi przedstawiciele moskiewskiej władzy — uriadnik i przystaw — siedzieli

w najbliższym miasteczku i grzecznie salutowali ojcu, gdy się koło nich przejeżdżało powozem.

To też zdawałem sobie sprawę, że tak samo daleko mi było do owych Kupściów i Gedyminów, jak naszej malutkiej Ańczy do wielkiego Niemna.

W obecnej sytuacji nad Dnieprem stanęły mi te ideały i marzenia dziecinne w pamięci, jak żywe — i owa dedykacja pocziwego matczyńska...

Właściwie mówiąc, wcale nie byłem pewny, czy byłem dobrym i prawym wogóle, a dobrym Polakiem — w szczególności. Ale chciałem być dobrym żołnierzem, nie gorszym od innych, takich, „których nie policzę“. Dlatego Dniepr ciągnął mnie, jak tamtych Kupściów i Gedyminów pociągał Niemen. Miałem nieprzepartą chęć udania się na Murman właśnie przez Dniepr razem z „Hardą“, na jej szlachetnym grzbiecie, w otoczeniu bodaj kilku ułanów. Liczyłem na to, że konno będziemy się przekradali od lasku do lasku, od wąwozu do wąwozu — i kto taki mały patrol złapie? Po krótkiej rozwadze doszedłem jednak do przekonania, że był to pomysł zgoła warjacki. W ten sposób można było przy dużej dozie szczęścia prześlizgnąć się pomiędzy kilkonastoma garnizonami wroga i przebyć sto — dwieście kilometrów, ale nie pomiędzy setkami garnizonów, które się

znajdowały po drodze na Murman na przestrzeni dwóch tysięcy wiorst, dzielących nas od morza Białego. Prócz tego każda zwykła wieś była przepelniona żołnierzami frontowymi, którzy świeżo wrócili do domu z bronią w ręku. W każdej wsi bolszewicy mogli zebrać z pośród nich pluton lub nawet kompanję piechoty. Za zwykłą rzeką, jaką był Dniepr, mieliśmy jeszcze do przebycia istne morze, nasycone nienawiścią do „legjonierów-bielopolaków“ i pieniące się rewolucyjnym fermentem.

Pozostawało więc zwolennikom podróży na Murman przekradać się tam w przebraniu, małemi partjami po kilku lub kilkunastu, pod zmyślonemi nazwiskami i z fałszywemi papierami.

Tak też zorganizował niebawem wyprawę na Murman moralny i ideowy wódz murmańczyków naszego pułku rotmistrz Bronisław Romer.

Podzieliliśmy się tedy na drobne partje. Ja stanąłem na czele partji najmniejszej, złożonej z dwóch podoficerów i czterech ułanów, i miałem wyruszyć pierwszy jako Zarzycki, zdemobilizowany podoficer jednego z rosyjskich pułków piechoty.

Dostałem od Romera pieniądze na drogę, fałszywe paszporty dla siebie i sześciu moich zuchów i czekałem na jego dalsze rozkazy.

Przed samym odjazdem poszedłem na ostatni w pułku uroczysty obiad z udziałem wszystkich oficerów, po którym mieliśmy się rozjechać w różne strony świata.

Obecni byli wszyscy: pułkownik Stefan Suszyński, rotmistrze Aleksander Pajewski, Feliks Dziewicki, Bronisław Romer, Jerzy Bardziński, porucznicy i podporucznicy: Zygmunt Podhorski, Aleksander Sędzimir, Józef Mielecki, Tadeusz Ciecierski, Kazimierz Zakrzewski, Michał Dziewanowski, Tadeusz Dziewicki, Leon Racięcki, Jan Pogorski, Antoni Lipski, Tadeusz Mikke, Mieczysław Łebkowski, Józef Płużański, Zdzisław Chrzastowski, Ludomir Wysocki, Antoni Bogusławski, Janusz Nowaczyński, Bohdan de Rosset, Eugenjusz Chrzanowski, Henryk Plater, Bolesław Rudnicki, Aleksander Mazaraki, Tomasz Jełowicki, Bolesław Kentro, Edward Milewski, Stefan Zaborowski, Janusz Ossowski, Marjan Ossowski, Czesław Świącicki, Witold i Eugenjusz Świąciccy, Edward Markiewicz, Jan Litewski, Józef Przewłocki, Karol Dowgiałło, Józef Cieszkowski, Stanisław Wilcz, Janusz Marylski, Władysław Dernałowicz, Tadeusz Jezierski, Karol Anders, Henryk Grabowski, Aleksander Wojciechowski, Kazimierz Łebkowski i Stefan Mrózowski. Z podchorążych: Feliks Kopeć i Wacław

Komorowski, oraz urzędnicy: Edward Milbrand i Ksawery Koźmiński.

Połowa wybierała się nad Don, częściowo — na Murman, połowa — do kraju. To też obiad miał charakter pożegnalny. Nastrój był podniosły i skupiony, pełni byliśmy dobrej myśli i wiary w powodzenie, bo każdy wybrał drogę, odpowiadającą jego sumieniu. To też gdy trębacze zaczęli grać coś smutnego, dowódca pułku, pułkownik Suszyński, przerwał im i wygłosił płomienne przemówienie. Słowa jego były pełne nadziei i wiary. Pułkownik wyraził przekonanie, że każdy spełni swój obowiązek, że dożyjemy bardzo rychłego wskrzeszenia Polski oraz ponownego zebrania się wszystkich krechowiaków pod jednym sztandarem. „Grajcie więc wesoło trębacze“! — rozkazał pułkownik po wzniesieniu toastu, a my wszyscy bez wyjątku zrobiliśmy mu serdeczną owację. Pułk nasz stanowił zwartą, zżyłą i wysoce koleżeńską rodzinę. Stosunek przełożonych do młodzieży był również oparty na zaufaniu i braterstwie. Nic dziwnego, że my, młodzież, nie przestaliśmy ubóstwiać naszych dowódców. Tragiczna była sytuacja pułku, ale to nie przeszkadzało, że dowódca był nam bliskim i kochanym zwierzchnikiem.

Przepiękne przemówienie wygłosił również rot-

mistrz Bronisław Romer, nawołując do dalszej walki z wrogiem i kończąc je okrzykiem: „Za pułk!”

A więc: „Kochajmy się! Niech żyje!”

Wogóle wieczór zakończył się wcale hucznie, mimo że przed obiadem jeden z oficerów targnął się na życie i tylko zbieg okoliczności pozwolił kolegom wczas wytrącić mu broń z ręki. Bo jednak to rozdarcie pułku na części nie przestało być tragedją dla każdego, kto przez trzy lata żył i bił się z myślą: „Jak wspaniała nasza postać, kiedy w słońcu błyszczy stal“... Teraz stal trzeba było złożyć do lamusa, przywdziać na pewien czas dziadowskie łachy i przedzierzgnąć się w bolszewika. Krótko mówiąc, trzeba było przestać być ułanem i żołnierzem, a stać się włóczęgą i narażać życie — o co? Za możność zostania ponownie żołnierzem gdzieś na Murmanie, nad Donem, czy na Kaukazie.



Ś. p. płk. Bolesław Mościcki
1-szy dca i szef 1. p. ułanów, poległy pod Dubem.

VI. ROTMISTRZ BRONISŁAW ROMER.

Rodzina moja, to jest matka, siostra i szwagier mieszkała w Homlu. Wygnała ich z Litwy zawierucha wojny światowej, przed którą schronili się najpierw do Charkowa, później — do tańszego, bo mniejszego znacznie, Homla. Homel był już zajęty przez Niemców, więc przejazd naszej partji do Homla nie przedstawiał narazie żadnych trudności. Mogliśmy korzystać jeszcze z naszych dokumentów prawdziwych, chowając paszporty fałszywe dla „czubaryków“. „Czubaryk“ albo „towariszcz“ — były to pogardliwe nazwy, jakimi żołnierze Korpusu ochrzcili żołnierzy bolszewickich.

Jechałem więc do Homla z komfortem, w przedziale 1-szej klasy i wciąż jeszcze w mundurze porucznika 1-go pułku ułanów, siedząc naprzeciwko jakichś dwóch majorów niemieckich, szwargocących po swojemu.

Niemcy ci nie interesowali mnie jednak wcale. Byłem przejęty pożegnaniem z rotmistrzem Romerem,

do którego poszedłem zameldować się tuż przed odjazdem. Był to bowiem niezrównany żołnierz, świetny dowódca, najzacniejszy człowiek, jakiego znałem, i najlepszy kolega.

Żołnierze i oficerowie ubóstwiali go, podobnie, jak poległego w zimie pułkownika Bolesława Mościckiego. Dość powiedzieć, że pod Turynem Romer potrafił na czele kilku oficerów i kilkunastu ułanów, których miał pod ręką, odeprzeć atak kilkuset bolszewików, rzucić się do przeciwnatarcia, wziąć dwudziestu jeńców i zdobyć dwa czynne karabiny maszynowe. Coprawda był to bój nocny, w którym przewaga liczby jeszcze mniej znaczy wobec odwagi, niż w boju dziennym. Jednak czyn ten był godzien podziwu.

Poza tem byłem dumny, że Romer pochodził ze Żmudzi — z mojej Żmudzi. Z kolegów pułkowych pochodził stamtąd jeszcze podporucznik Bolesław Kentro.

Otóż Romer organizował i wysyłał wszystkie nasze partje na Murman, a osobiście wyruszyć miał z partją ostatnią. Że wyruszy, to nie ulegało żadnej wątpliwości, ale czy dotrze? Gdyby zginął, byłaby to strata niepowetowana. Żegnając się z nim, miałem jakieś złe przeczucia. Wypada oczywiście oficerowi twierdzić, że nie wierzy w żadne przeczucia i bab-

skie wróżby, ale wtedy robak wątpliwości we mnie tkwił. Prostu nie wierzyłem, żebyśmy się kiedy jeszcze spotkali. Czyżbym miał mieć rację? A jeżeli tak, to kto kogo będzie wypatrywał na Murmanie nadaremno?

A teraz czekało mnie jeszcze jedno pożegnanie — pożegnanie z rodziną. Tam dopiero będą babskie hece, łzy i tak dalej — myślałem z niechętną rezygnacją.



Ś.p. rtm. Brónisław Romer,
rozstrzelany w drodze na Murman.

VII. SKARB TUŁACZY.

Monotonnie dudnią koła pociągu, unoszącego mnie z Bobrujska do Homla. Jeden z majorów niemieckich wyszedł z przedziału. Drugi układa się do snu. Układam się i ja, i oto leżymy naprzeciw tak blisko, jakby to nie był niedawny wróg i wróg przyszedł. Niebawem jednak zasypiam i budzę się dopiero w Homlu, gdzie na mnie czekają matka, siostra i szwagier. Obmyślam zawczasu, co będę mówił, gdyż przewiduję nieskończone i jałowe perswazje. Myślę, że rodzina oburzy się na awanturniczy pomysł murmański tak samo, jak niegdyś sprzeciwiła się wstąpieniu do krakowskiego „Strzelca“, gdy, jako maturzysta kowieńskiego gimnazjum, chciałem przed wojną w tym celu wyjechać zagranicę i wstąpić na uniwersytet w Krakowie. Wówczas dałem się matce nakłonić (oj, te pieniądze!) — i pojechałem na uniwersytet do Moskwy. Teraz będę nieugięty. Ale próśb i lamentów jednak trzeba będzie wysłuchać.

Chodziło o to, że nasz Teodorów, podobnie, jak leżące obok Botoki, odwieczne, choć nie pierwotne gniazdo mojego rodu, były zostawione na pastwę rabunkowej gospodarki okupantów. Matka niewątpliwie zechce, żebym ten pozostały jeszcze kawałek ziemi ratował. W myśl układu, zawartego między gen. Dowborem a Niemcami, przysługiwało mi tak, jak wszystkim kolegom, prawo powrotu do domu. Mógłbym przytem przewieźć tam z Homla moją rodzinę, klepiącą biedę na obczyźnie i nie mającą narażenie pod okupacją niemiecką swobody przejazdu. Przyznam się, że pokusa była bardzo wielka.

I rzeczywiście, po pierwszych słowach powitania moi najbliżsi dali wyraz tym marzeniom. Szczególnie żał mi było chorej starej matki i trzyletniego mojego siostrzeńca, Antosia, ale trudno. Każdy ma swoją rodzinę i swoje interesy — i Romer, i Starzeński, i Płużański, i Lipski, i tych stu podoficerów i ułanów — a jednak wyznaczylśmy sobie spotkanie na północy Rosji. Więc klamka zapadła, i dajmy tym rozmowom spokój!

Trzeba oddać sprawiedliwość, że rodzina moja tym razem zbytnio na zmianę decyzji nie nastawała. A jednak los jej nie był do pozazdrosczenia; na ob-

czyźnie, oderwana od domu i niemal bez środków do życia.

Rozglądałam się po mieszkaniu. W małym ciasnym pokoju, gdzie się wszyscy gnieźdzą w okropnych warunkach, wisi na ścianie stary portret, o surowej asceetycznej twarzy — jedyny, który zabrano z opuszczonego gniazda. Jest to moja antenatka, Anna Mechtylda Chrzastowska, fundatorka historycznego kościoła w Krożach, który wymurowała niegdyś na miejscu kościoła, ufundowanego poprzednio wraz z klasztorem sióstr benedyktynek przez Wołodkiewiczów, też moich przodków po kądzieli.

Portret ten zabrano z sobą z Teodorowa, pozostawiając tam kilkanaście innych z tej samej oraz wcześniejszej epoki, ponieważ siostra moja — również Anna — odczuwała doń specjalny sentyment. Lubiliśmy nawet dopatrywać się w jej rysach podobieństwa do prababki, chociaż siostra nie miała w sobie nic z surowości mniszki i ksieni, jaka wyglądała z czarnego tła obrazu. Poza ten portret ten opromieniała słynna na Litwie w dobie popowstaniowej martyrologja Kroż. Gdy Rosjanie zamknęli w Krożach klasztor i kościół, miejscowa ludność wiejska stawiała władzom zdecydowany opór, wskutek czego kozacy urządzili krwawą rzeź w kościele i na cmen-

tarzu. Odtąd Kroże stały się symbolem oporu biernego, a dla odłamu młodzieży, marzącej o niepodległości — zapowiedzią walki czynnej, kiedyś, w nieokreślonej bliżej przyszłości.

Rzezi i gwałtom towarzyszył wówczas, jak wiadomo, rabunek. Kozacy splądrowali wszystko, co się dało w kościele i na cmentarzu, nie oszczędzając grobów rodzinnych rodziny Chrzastowskich, rozbijając trumny, obdzierając trupy i szkielety, rozrzucając kości zmarłych, jak wówczas mówiono, „na cztery wiatry“. Od tego to czasu chowano naszych zmarłych już nie w odległych Krożach, ale w pobliskich Botokach. W kościele kroskim, prócz ołtarzy, kozacy oszczędzili jedynie portret fundatorki, który tam wówczas wisiał; widocznie wzięli ją za świętą, startego już i zre-dagowanego staroświeckim stylem napisu na portrecie nie przeczytali.

Wygłane z Kroż benedyktynki zabrały portret ksieni ze sobą, jako jedyny skarb klasztorny, który im pozostał. W kilkanaście lat później, gdy już zostało ich tylko kilka na wymarcu, zwróciły go mojej matce, jako przedstawicielce rodu fundatorki.

Nic też dziwnego, że nie chciano go zostawić na pastwę zawieruchy wojennej.

Co do mnie, od dziecka żyłem w atmosferze tej

cmentarnej legendy. Więc i teraz, gwarząc z rodziną o sprawach prywatnych i publicznych, wpatrywałem się w tak dobrze znaną mi twarz mniszki.

Obraz, przy olbrzymich rozmiarach, nie należał wcale do arcydzieł, a w szczególności brak w nim było perspektywy, wskutek czego duże przedmioty, namalowane dalej, wydawały się bliskie i małe. Ksieni siedziała za stołem, a wdali widniał wystawiony przez nią kościół. Otóż wyglądało to tak, jakgdyby kościół znajdował się u niej na ramieniu i był mniejszy od psalterza, leżącego przed nią na stole. Za to sępia, choć młoda, twarz mniszki, była kapitalna; tak mogła wyglądać na murach Trembowli pani Chrzanowska.

Czy ona nigdy nie miała żadnej rozterki duchowej, żadnej chwili słabości? Może i miała, ale nikt nigdy z tej twarzy na pewno tego nie wyczytał. Chciałbym mieć taką twarz!

Nie! Moja matka się nie dowie, jak bardzobym chciał teraz z nią pozostać, zaopiekować się nią i powrócić razem do Teodorowa!

Mimo trapiącej mnie nostalgji, gwarzyłem o wszystkim wesoło. Po południu odwiedziłem babkę Jadwigę Monkiewiczową i ciotkę Polę Monkiewiczównę, dwie przeznaczone staruszki, żyjące tradycją

1863 roku. Dziad Paweł Monkiewicz umarł bowiem na Syberji, a jego dobra zostały skonfiskowane. Był to stały temat do wspomnień i nieskończonych, a coraz ciekawszych, chociaż wciąż tych samych, opowiadań. Prócz tego staruszki musiały mi pokazywać za każdą moją bytnością swoje skarby. Były to legja honorowa i krzyż virtuti militari, przechowywane po dziadku, kapitanie Karolu Bortkiewicz, żołnierzu napoleońskim i obrońcy Olszynki grochowskiej.

VIII. BARTEK-ZWYCIĘZCA I ZABORCY.

Ulice Homla wyglądały zgoła inaczej, niż przeciętne miasto rosyjskie, znajdujące się pod władzą bolszewików. Tam panował chaos, brud, terór i szczególne jakieś rewolucyjne podniecenie. Tu wprawdzie czuć było ciężką łapę okupantów, ale zarazem panowała niemiecka czystość, ład i porządek. Od czasu do czasu przemaszzerowywały małe oddziały niemieckiej piechoty w imponujących swą wielkością i marsowością stalowych hełmach. Brak im było może polskiego temperamentu, ale o ileż przewyższali bolszewickie bandy dyscypliną i wojskową postawą! Poza tem w miejsce rosyjskiego nieróbstwa, uświęconego od pewnego czasu rewolucyjną „swabodą“, panowały wszędzie praca i krzątanie. Tu żołnierze dozorują zmobilizowaną do roboty ludność, ówdzie sami przekopują jakiś kanał. Na bocznej ulicy zauważyłem kilku Niemców, wkopujących nowy słup telegraficzny na miejsce starego. Oto jest rasa pracy i zorganizowanego czynu. Dopiero co wtargnęli do miasta, a już

gospodarują tak, jak u siebie, pod Berlinem czy Magdeburgiem. Ponieważ ze wszystkich polskich wad narodowych osobiście najbardziej chorowałem na lenistwo, więc ta mrówcza pracowitość niemiecka imponowała mi najbardziej.

Niemniej widziało się w nich nietyle groźnych wojaków, ile przebranych w mundury otyłych bywalców pruskich piwiarni i kregielni.

Patrząc na tych dobrodusznych, sumiennych, ale wybitnie powolnych i limfatycznych chłopów z Hanoweru, pomyślałem sobie, że jednak tacy żołnierze — Somosierry nie zrobili i nie robią! Jestem z całym szacunkiem dla *zbiorowego* wysiłku niemieckiego narodu i wojska, ale nikt mnie nie przekona, żeby żołnierz niemiecki, *indywidualnie wzięty*, miał być czemś wyższem. Wręcz przeciwnie; i wiem, i wierzę, i widziałem zresztą, że jest inaczej. O ileż wolę naszego warszawskiego łobuza lub chłopca z pod Łomży, czy z pod Łowicza! Żywy, sprytny, ambitny, wesoły, a „jak przyjdzie co do czego” — niesłychanie zawzięty i ruchliwy, jest elementem żołnierskim nierównie lepszym w ofensywie i równie dobrym w obronie. Cechuje go przytem to samo poczucie wysiłku *zbiorowego*, którem słusznie szczyli się rasa germańska. Prócz tego posiada większą bodaj, niż Niemiec, dąż-

ność do współzawodnictwa na wojnie, dążność, która jest najlepszą szkołą bohaterów. To też jest urodzonym Bartkiem-zwycięzcą w szeregach armij obcych. Nie mówię już o patryjotyzmie polskim, który ma to do siebie, że albo nie istnieje wcale, czy tylko w słowach, albo płonie, jak pochodnia. Czyż to nie polski wieszcz powiedział: „Biada, kto dla ojczyzny poświęci pół ducha, a drugie pół ducha dla siebie zachowa“?

Takim patryjotyzmem bez reszty i „bez gwarancji“ ze strony obcych potęg promieniały legjony polskie Józefa Piłsudskiego, Legjon Bajoński i Legjon Puławski. Mniejszy czy większy rozwój tych formacji i cała ich ideologia późniejsza zależały już od tego, jakiej miary wódz, patryjota i polityk stał na ich czele.

Przedewszystkiem zaś Polak ma zamiłowanie do gestu. „Stać mnie na to — raz kozie śmierć!“ — i rusza na karabiny maszynowe tak, jak Koziatulski ruszył na armaty. „Naprzód, psie krwie! Cesarz patrzy!“ — wołał tamten, szarżując w oczach Napoleona. Niema teraz Cesarza? Mniejsza; zawsze jest ktoś, o czyją opinię chodzi. „Pokażemy, co umiemy!“ Komu pokażemy? Otóż wszystkim. Najpierw sobie i naszym ukochanym wodzom. Pokażemy też i wrogom — niech wiedzą! Pokażemy innym pułkom, jak

nasz pułk się bije. W pułku pokażemy innym szwadronom, co to nasz szwadron. W szwadronie — co to nasz pluton. W plutonie Bartek musi pokazać Wojtkowi z Psiej Wólki, jak piorą ci, co pochodzą z Koziej Wólki. Prócz tego lubi pochwalić się przed swoją Kaśką.

A za co kochamy księcia Józefa? Może za kilkadziesiąt bitew i dziesiątek ran, może za to, że był naczelnym wodzem sił polskich? — Nie! Za to, że pod Lipskiem „pokazał fason“ światu. Czy za to tylko, że zginął? Nie! Za to, że zginął z gestem.

A przecież scena nad Elsterą w tej czy innej postaci jest niemal w każdym polskim domu! Jak dziś, pamiętam sztych z księciem Józefem, wiszący w naszym dziecinnym pokoju. Mój Boże! Ile to od czasów dziecinnych, od pierwszego, świadomego spojrzenia na ten sztych, upłynęło wody w Niemnie! Czas ten to prawdziwy ocean przeróżnych codziennych wrażeń. Wrażenia jednak następują po sobie nieskończenie, jak fala za falą, i jak każda fala — giną. Tylko nieliczne z pośród tej masy pozostaną w pamięci, jak zaklęte w śpiż posągi i drogowskazy. Twierdzę, że taki mały obrazek w niemniejszym stopniu kształtuje dusze całych pokoleń, jak okazały, sędziwy i dostoyny Wawel.

Taki jest urok i potęga tego, co nazywamy gestem!

Powie ktoś, że ta cecha Polaków — to zwykła próżność. Mnie się zdaje, że to raczej tęsknota do wielkości i piękna. Zresztą nawet w tych wypadkach, gdy to jest tylko próżność, jest to próżność niezwykła, bo stroi się w diadem cierpień i purpurę krwi.

Trzeba zaznaczyć i podkreślić z całym naciskiem, że Białorusini i Rusini o wiele mniej są podobni z charakteru swego do Wielkorusów, niż do Polaków. Widocznie na kresowych ziemiach dawnej Rzeczypospolitej charakter narodowy Polaków zaznaczył się daleko większą ekspansją, niż język polski. Dlatego Białorusin z pod Wilna lub Ukrainiec z Wołynia są niemal równie dobrym elementem żołnierskim, jak rodowity Polak.

Dzięki temu w przyszłości i indywidualnie przewyższymi Niemców, i zbiorowo nie powinniśmy być nigdy gorsi.

Co do Rosjan, jest znowu inaczej. Przez cztery lata wojny Niemcy dawali armii rosyjskiej nieraz tęgie lanie, i to częścią swoich sił, bo siły główne wciąż były zaangażowane na francuskim froncie. Można by pomyśleć wobec tego, że Rosjanin nie jest żadnym materiałem na żołnierza. Otóż są to tylko pozory.

W rzeczywistości Rosjanin nie jest wprawdzie szczególnie wojowniczy z natury, niemniej, postawiony oko w oko z Niemcem, często brał go „na sztyk“ czyli bagnet, którym posługiwał się zawsze lepiej. Piesze patrole rosyjskie oraz drobne podjazdy kawalerji, o ile były prowadzone przez dobrych oficerów, przeważnie zwyciężały w starciach z drobnymi oddziałami zwiadowczymi Niemców; tak było przynajmniej dopóty, dopóki istniała dawna armja carska, trzymająca żołnierza w karbach jakiej takiej dyscypliny.

Natomiast kompanja rosyjska już była zawsze słabsza od kompanji niemieckiej, a dywizja niemiecka tłukła całe rosyjskie korpusy, co się nazywa, ile wlezie. Wyjątek stanowiły: rosyjski korpus gwardji oraz korpusy syberyjskie i kaukaskie, przepojone zupełnie innym duchem. Nawiasem mówiąc, w korpusach tych stosunkowo najwięcej było Polaków, zarówno szeregowych, jak oficerów. Wyjątkowo bitna była kawalerja, ale zupełnie nie miała wartościowych wyższych dowódców i ostatecznie też nic wielkiego nie zdziałała.

Materiał na wojsko był zatem w Rosji dobry. Dla czego więc wojsko, ulepione z tego materiału, jako

całość, było złe, coraz gorsze, i brało od Niemców ciągi?

Oto dlatego, że wprawdzie rzadko który Niemiec zdobywał się na cuda waleczności, ale każdy Niemiec, nawet przeciętny, zdobywał się dla *Vaterlandu* na wszystko, na co go było stać. A ponieważ Niemiec jest systematyczny, sumienny i obowiązkowy, więc w sumie, przy dobrej organizacji i dobrem dowodzeniu, powstał ten kolosalny zbiorowy wysiłek, przy którego pomocy armja niemiecka zachwiała całym światem.

Natomiast w żołnierzu rosyjskim, ani nawet w oficerze nie było wystarczających impulsów moralnych do zbiorowego wysiłku całej masy. Patryotyzm, o ile był, był zdawkowy, bierny, „kazionny“, pozbawiony jakichkolwiek cech dynamicznych. Miłość ku carowi, lub choćby przywiązanie doń i do jego rządów — jak to wykazały chwile przewrotu i rewolucji, nie istniały wcale, a raczej istniały tylko zewnątrz, na pokaz.

Poczucie obowiązku było wszędzie niesłychanie słabe lub wypaczone, i to nietylko u szeregowców i podoficerów, lecz i u oficerów. W armji rosyjskiej dzielny dowódca mógł ufać tylko sobie i tym, których prowadził pod swoją bezpośrednią komendą i okiem.

Pierwszy lepszy oficer lub podoficer, wysłany z samodzielnem zadaniem, zawodził, gdy tylko znikał z oczu dzielnego dowódcy. Im zadanie było bardziej samodzielne, tem więcej było pola do niesumiennego wykonania i niesumiennych relacyj.

Gusar! W sia żizń twoja — oszibkoj

I wies' oszibkoj sozdan ty! —

śpiewali oficerowie kawalerji. W tłumaczeniu oznacza to mniej więcej: „Huzarze! życie twoje omyłką, i całyś stworzony przez pomyłkę“! Otóż takim niesamowitym błędem byli nietylko huzarzy, ale całe wojsko i cały naród. Ponieważ wszystkim było „wsio rawno!“, więc ostatecznie każdy troszczył się o siebie, a reszta — furda!

IX. „WORECZKARZE“.

Niemcy trzymali w szachu ludność okupowanego kraju stosunkowo małemi siłami. Wskutek tego w miastach był spokój, natomiast wieś tu i ówdzie stosowała bierny opór. Zrewolucjonizowany lud ruski niechętnie poddawał się niemieckim rządóm. Niemcy musieli posyłać na wieś, w celu rekwizycji, zamiast pojedynczych ludzi, silne patrole. Opowiadano nawet, że przed paru dniami jeden z takich patroli został rozbity i dwóch Niemców zginęło w starciu z chłopami jakiejś wioski. Co innego, że wieś poszła za to z dymem.

Idąc po jednej z ulic, zauważyłem na małym skwerze między chodnikiem a jakimś pałacem śliczny posąg Thorwaldsena, przedstawiający Rzymianina na koniu. Od przechodniów dowiedziałem się ku swemu zdumieniu, że jest to posąg księcia Józefa Poniatowskiego, lecz nikt nie mógł objaśnić, skąd się wziął w tem półrosyjskiem, półukraińskiem mieście i jak się stało, że go tolerowano pod rządami rosyjskimi na

ludnej ulicy śródmieścia. Dopiero w domu powiedziano mi, że pałac, przed którym stoi pomnik, należał kiedyś do feldmarszałka Paskiewicza. Po zdobyciu Woli i kapitulacji Warszawy w roku 1831 Paskiewicz zabrał go z Polski i postawił przed swym pałacem, jako dzieło sztuki, nie licząc się z tem, że to bohater narodowy Polski stoi, bądź co bądź, na ulicy rosyjskiego miasta, a nawet — że podobno car Mikołaj rozkazał ten pomnik zniszczyć. Do czego jednak dochodziła samowola rosyjskich satrapów!

Niewiadomo było, czy cieszyć się z takiego obrotu rzeczy, czy się smucić. W każdym razie dobrze, że pomnik ocalał z zawieruchy dziejowej z przed stu laty, że przetrwał wojnę światową i rewolucję, i że w wyniku znalazł się na swoim miejscu, na najpiękniejszym placu Warszawy.

Granica, a raczej tymczasowa linja demarkacyjna między okupacją niemiecką a Rosją bolszewicką, przebiegała niedaleko Homla. Podobno po stronie bolszewickiej panowała straszna nędza; w szczególności zupełnie nie było soli i cukru, za które tam się płaciło ogromne sumy. Chociaż więc handel publiczny był przez bolszewików ścigany i karany, handel pokątny kwitł w najlepsze. Ponieważ sklepy były przymusowo zamknięte, zajmowali się handlem sprzedawcy uliczni,

przywożąc sól i cukier z pod okupacji niemieckiej i obnosząc te towary w niedużych worach oraz workach. Od słowa „mieszok“, czyli worek, handlarzy tych nazywali w Rosji „mieszocznik“, co oznacza „woreczkarz“. Podobno tysiące takich woreczkarzy krążyło teraz między Homlem a Rosją, przekraczając nielegalnie granicę i szmuglując głównie sól i cukier.

Ta wieść była mi ogromnie na rękę, gdyż wśród tłumów obdartych woreczkarzy łatwiej nam było przekroczyć granicę. Zmieniłem tedy pierwotną marszrutę okrężną, prowadzącą na Murman przez Homel—Kijów—Charków—Moskwę—Archangielsk, na marszrutę krótszą, prowadzącą przez Homel—Tułę—Moskwę do Archangielska.

W Kijowie jednak miałem dostać adresy naszych tajnych placówek, znajdujących się w Moskwie, Wołogdzie i Archangielsku, a utworzonych celem udzielania pomocy w drodze wszystkim murmańczykom i dawania im wszelkich informacji. Placówki te były zorganizowane przez II brygadę legjonów. W Moskwie na czele placówki stał podobno oficer naszego pułku, rotmistrz Tadeusz Żółkiewski. Mówię „podobno“, ponieważ placówki te były ogromnie zakonspirowane i nikt nic pewnego o nich nie wiedział. Jedyny adres dokładny, który dostałem, wyjeżdżając z Bo-

brujska, był to adres placówki kijowskiej. To też zostawiłem swą partję ułanów w Homlu i kazałem jej tam zaczekać, sam zaś wybrałem się do Kijowa.

Obiecywałem sobie, że po powrocie z Kijowa wyruszę z ułanami ku granicy natychmiast. Do domu już wpadnę tylko na sekundę. Ale będę musiał raz jeszcze stanąć pod pomnikiem księcia Józefa — już jako „woreczkarz“.

X. K I J Ó W.

Po dłuższej podróży statkiem z biegiem rzeki Soży i Dniepru — jestem oto w Kijowie.

Położenie tego wielkiego i pięknego miasta na wysokim brzegu rzeki jest bardzo malownicze.

Pod względem porządków wewnętrznych miasto nie różniło się od Homla, bo i tu i tam rządili teraz Niemcy. Było tylko więcej wojska i więcej ludzi na ulicach.

Miasto żyło pod wrażeniem zabójstwa generała niemieckiego Eichhorna. Widocznie rządy okupantów nie w smak były skrajniejszym żywiołom ludności, jakkolwiek Niemcy zarządzili niby w imieniu ukraińskiego hetmana Skoropadskiego, kokietując prawicowe sfery Ukraińców.

Hetman Skoropadski musiał się zadowalać takim samym cieniem władzy i niepodległości, jak nasza Rada Regencyjna w Warszawie.

Kieruję się po Kreszczatyku wprost pod wskazany przez Romera adres. Po drodze ślepy przypadek rzuca

mnie w objęcia Alberta Pacewicza, ostatnio studenta uniwersytetu kijowskiego, dawniej mego kolegi z ławy gimnazjalnej. Był to najlepszy mój przyjaciel z czasów, kiedyśmy chodzili do sztuby w Kownie, prowadzili tajną pracę społeczno-narodową wśród młodzieży polskiej i rywalizowali o najładniejsze koleżanki z gimnazjów żeńskich. Przypominamy więc teraz sobie, jak to omal nie doszło do pojedynku między nami o piękną pannę J. Zresztą, gdy niema kobiety „pod ręką“, jakież jest wówczas najmielsze zajęcie dla mężczyzny? Chyba rozmowa o kobiecie. Gwarzymy zatem dość długo o „dziewczynkach“, paniach, pannach i o takiej kobiecie, która mogłaby być tylko jedna, gdyby — była. Niebawem jednak przechodzimy na tematy aktualne.

Albertek opowiada mi rzeczy przedziwne, które nawet mnie wydają się nieprawdopodobne, chociaż znałem dobrze bolszewików i naogół wiedziałem, do czego są zdolni. Otóż przed zajęciem Kijowa przez Niemców oraz ich poplecznika, Skoropadskiego, Kijów wpadł w ręce innego ukraińskiego atamana o zabarwieniu lewicowem, a mianowicie Petlury. Bolszewicy, wypędzeni przez petlurowców z Kijowa, zebrali posiłki i odebrali szturmem Kijów, a wówczas

nastąpiły na ulicach dantejskie sceny, na które mój pocciwy Albertek trząśł się z oburzenia.

Chodziło o to, że w Kijowie, wśród półmilionowej ludności miasta, przebywało bardzo wielu zdemobilizowanych oficerów. W ogromnej większości byli to ludzie, nie biorący udziału w walkach, ani po stronie Ukraińców, ani po stronie bolszewików. Mimo to, po zdobyciu Kijowa, bolszewicy urządzili krwawą masakrę oficerów, bez względu na ich neutralność, tylko dlatego, że kiedyś służyli w armii carskiej, jako oficerowie. Był to akt zemsty, godny Dżingischana. W biały dzień wywlekano bezbronnych i niewinnych ludzi, stawiano ich „pod stienku“ i natychmiast rozstrzeliwano bez sądu. Ściana służyła poto, aby kule nie leciały dalej. Starszych rangą lub bogatszych pędzono do lochów „czrezwyczajki“, gdzie czekało ich to samo dopiero po szeregu dochodzeń i tortur. Żony, siostry i córki nieszczęśliwych służyły najczęściej rozpasanej tłuszczy do zabawy, lub też same dobrowolnie próbowały ofiarą swych ciał ratować najbliższych — zwykle bezskutecznie. Zdarzało się często, że rozstrzeliwano nie tylko oficerów, ale poprostu przedstawicieli inteligencji o większej lub średniej zamożności, ot, dlatego tylko, że byli, jak ich nazywała tłuszcza — burżujami i wrogami rewolucji. Kto mógł, przebierał się,

ukrywał i czekał z upragnieniem na przybycie Niemców, którzy niebawem wypłoszyli bolszewików z miasta i położyli kres tym dzikim scenom, przywracając porządek. Ale krwi przelanej wrócić nie można. Samych wyroków śmierci naliczono w mieście w ciągu stycznia roku 1918, wedle słów Pacewicza, do pięciu tysięcy, a ile, prócz tego, wymordowano bez wyroku — nikt dokładnie nie zliczy.

Pamiętam, jak na długo przed rewolucją, jeszcze w Kownie, w rozmowach z tym samym Albertkiem, zwalaliśmy zawsze winę za ucisk w Polsce i za ucisk w Rosji na cara i jego popleczników. Lubiliśmy, jak większość Polaków, twierdzić, że w Rosji zły jest tylko rząd rosyjski oraz urzędnicy, nasyłani przez rząd na kresy, że w głębi kraju lud rosyjski jest bardzo łagodny, dobry i ludzki. Obecnie przyszedłszy do wręcz odmiennego przekonania. Chłop rosyjski jest rzeczywiście dobroduszny i dobry, ale dobroć ta jest tylko powierzchowna i nie oparta o żadne trwałe instynkty czy nakazy moralne. W głębi, jak się okazało, drzemie w nim dzika bestja, która się teraz obudziła i szaleje, od chwili, gdy nastąpiła źle zrozumiana „ruska swaboda“, czyli wolność robienia wszystkiego, co się komu żywnie podoba.

Z drugiej strony winę ponoszą również rosyjscy oficerowie. Wybujały indywidualizm, bierny azjatycki fatalizm, brak impulsów moralnych do zbiorowego czynu okropnie zaciężyły na ich losie. Po zlikwidowaniu wielomiljonowej armji rosyjskiej, oficerów tych było jeszcze w Rosji chyba ponad dwieście tysięcy. Z tego „tylko“ kilka lub kilkanaście tysięcy wyrzucono w chwili przewrotu bolszewickiego. Resztę tępiono bezlitośnie „na raty“. A więc na całym obszarze Rosji, w pociągach, na dworcach, ulicach, słowem — wszędzie, to tu, to tam, codziennie wyłapywano i zabijano w pojedynkę tych, którzy rzucali się tłumom w oczy lepszym ubiorem, złotemi szlifami lub odmiennem zachowaniem. Poza tem przy ładajakiej okazji urządzano w poszczególnych miastach gremjalne rzezie, takie, jakiej świadkiem był właśnie Kijów. Rosja była podobna do wrzącego kotła, więc „okazji“ nie brakło. Przecie okazją do wymordowania rodziny carskiej było przedsięwzięcie ofensywy przez wojska Kołczaka. Tak samo załatwiano się ze zmniejszeniem zapomocą egzekucji zbyt wielkiej ilości byłych oficerów, którzy wprawdzie nie walczyli, „ale mogli wystąpić czynnie i walczyć“. Tragikomedja sytuacji polegała na tem, że oficerowie rosyjscy naogół nie chcieli walczyć. Tak więc

„stienka“ lub lochy czczewyczejki były nagrodą za bierność.

Dowiaduję się od Albertka o rzeczy niezmiernie ciekawej i znamiennej dla stosunków, panujących obecnie wśród Polaków z jednej strony, a Rosjan — z drugiej. Oto podczas walk Ukraińców z bolszewikami pułkownik Juljusz Rómmel sformował z przebywających w Kijowie wojskowych-Polaków oddział, złożony z kompanji piechoty, szwadronu i baterji. Na jego apel zgłosiło się w Kijowie w ciągu kilku dni zgórą trzystu ludzi. Większość tego oddziału stanowili oficerowie. Wystarczyło wydać jedną odezwę, aby za broń pochwycili wszyscy prawie oficerowie, znajdujący się w mieście.

A tymczasem na analogiczną odezwę do oficerów rosyjskich, których według rejestracji było wówczas w Kijowie dziesięć tysięcy, zgłosiło się... siedmiu.

Komentarze zbyteczne.

Narazie było jeszcze w Rosji tylu oficerów, że gdyby cały korpus oficerski zebrać i uzbroić, utworzyłoby się kilka bardzo dobrych dywizyj i korpusów. Wówczas zaś tak zwana „czerwona gwardja“, jedyna siła zbrojna nowego ustroju, była nic nie warta i nieliczną stosunkowo milicją. Osobiście uważam, że milicja ta nie ostałaby się, gdyby cały korpus oficerski

zorganizował się i chciał walczyć. Cóż, kiedy do białych armij Aleksiejewa, Krasnowa i Kołczaka oraz do innych powstań, wybuchających to tu, to tam, przystępowały tylko jednostki, a w każdym razie — znikoma mniejszość. Ogromna większość czekała po domach zmiłowania Bożego.

W tej sytuacji nie wróżyłem w przyszłości powodzenia powstaniom Aleksiejewa, Denikina, Kołczaka i innych „białych“ przywódców. Jest to jedna z przyczyn, dla których wybrałem dalszą drogę przez Murman do Francji, niż bliższą — do formacyj polskich nad Donem.

Druga przyczyna — to tradycyjny sentyment do Francuzów, a ci podobno już wylądowali w porcie murmańskim.

Trzecia — to pragnienie wydostania się poza obręb rosyjskiej wojny domowej. Miałem już dość tego zapachu krwi, tego beznadziejnego chamstwa i bestjalstwa.

*

Pan Pieniążek, szef tajnej placówki, wysyłającej z ramienia II brygady żołnierzy polskich z Kijowa na Murman, przyjął mnie najpierw nieufnie, później — po wylegitymowaniu — nader tajemniczo.

Opowiadał o Murmanie cuda, którym się nie chciało wprost wierzyć. Na murmańskim pobrzeżu oceanu Lodowatego miało być już podobno kilka wyborowych dywizyj koalicyjnych. My mamy jechać nie do Francji, lecz do wojsk polskich, organizujących się na Murmanie, i tam bić się z bolszewikami, ramię w ramię z francuskim desantem. Desant ten pomaszeruje na Moskwę, „zrobi porządek“ w sercu Rosji, poczem, połączywszy się z armjami Kołczaka i Denikina, doprowadzi do restauracji rządów Kiereńskiego lub rządów o kierunku pokrewnym. Wówczas Rosja powróci do koalicji, a my powrócimy na swoje miejsce, już jako armja polska na rosyjskim froncie przeciwniemieckim.

Wszystko to wydało mi się nieco fantastyczne. Z punktu widzenia koalicji, która jeszcze nie wygrała bitwy na zachodzie, co za sens odrywać stamtąd tak wielkie siły i odsyłać na pustkowie, nad ocean Lodowaty, dla bardzo wątpliwych korzyści, które mogą się zrealizować na rosyjskim froncie, w najlepszym razie za pół roku? Najmniej chciało mi się wierzyć, że oddział wojsk polskich na Murmanie wynosił już, rzekomo, w chwili owej, około trzydziestu tysięcy ludzi. Miałem wrażenie, że na Murman wogóle podążyło ze wszystkich polskich formacyj nie więcej, jak kilka ty-

sięcy, wielu zawróciło z drogi do formacji polskich, tworzących się na Syberji oraz nad Donem, a trudności przedostania się na północ jedyną koleją Wołogda-Archangielsk-Murman były prawdopodobnie bardzo wielkie, zwłaszcza, gdy chodziło o przeszmuglowanie tak wielkiej ilości drobnych partyj ochotników.

Nie wiedziałem tedy, co z tego wszystkiego jest faktem, a co szlachetnem pragnieniem zacnego pana Pieniążka.

Z drugiej strony p. Pieniążek mówi chyba prawdę, skoro jest oficerem. A może sam ma przesadne informacje? Może nawet nie jest Pieniążkiem? Mówił mi przecież, że wódz naczelny wojsk polskich na Murmanie, generał Mazowiecki — to nazwisko przybrane. Wszystko to było niezwykle tajemnicze.

A może miał to być środek „dodania ducha“ dość niezwykłym podróżnym, którzy się do niego wciąż zgłaszali i niekiedy potrzebowali pokrzepienia serc?...

Zresztą tak, czy inaczej — jechać trzeba. Podziękowałem więc za informacje, zanotowałem sobie w pamięci niezbędne adresy, pożegnałem się i wyszedłem znowu na ulicę.

Do odjazdu statku do Homla pozostało parę godzin. Odwiedziłem wobec tego jeszcze Podhorskiego,

który tu chwilowo ukrywał się w drodze nad Don. Próbowaliśmy wzajemnie przekonać się i nakłonić — ja jego do podróży na Murman, on mnie do podróży nad Don — ale bezskutecznie.

A zresztą — czy nie wszystkie drogi prowadzą do Rzymu, to jest do Polski? Coprawda, diablo daleka i okrężna to droga! No, i wyboista...

XI. NA GRANICY DWÓCH ŚWIATÓW.

W Homlu nie chciałem już tracić czasu z niewiastami na lamenty, ani nawet na *rendez-vous* z posągiem Thorwaldsena. Wpadłem więc do domu tylko na chwilę, żeby ucałować ręce moim paniom i zabrać partję ułanów, czekających na mój powrót z Kijowa.

Spotkanie moje z ułanami nie było pozbawione komizmu. Na widok bandy, złożonej z sześciu obdartych „mieszoczników“, stojących przede mną, można było parsknąć ze śmiechu. Cóż, kiedy i im na mój widok zadrgały w uśmiechu wargi.

„...Hej, hej, ułani! malowane dzieci!...“

Już od tyłu dni szykowaliśmy się do przekroczenia granicy, że kiedy nareszcie mieliśmy dać nura do rewolucyjnego kotła rosyjskiego, fakt ten nie zrobił już na mnie żadnego wrażenia. Przejście granicy nie było wówczas w tem miejscu trudne. Masy zdemobilizowanych żołnierzy dawnej armji rosyjskiej, zaab-

sorbowane grabieżą najbliższych od frontu majątków ziemskich, dotychczas jeszcze nie odpłynęły na wschód do swych siedzib. Teraz, z powodu rozszerzenia terenu okupacji niemieckiej, każdy ze spóźnionych, zdemobilizowanych żołnierzy i dezertarów śpieszył przekraść się do Rosji ku swemu domowi. Jednostek takich były tłumy. Niemcy nie robili nikomu żadnych trudności na granicy, bo, dzięki temu odpływowi, ubywało gąb do karmienia i łatwiejszy stawał się problem rządzenia Ukrainą. Co do bolszewików po drugiej stronie granicy, ci znów nie mogli dać sobie rady z kontrolą tyłu przybyszów naraz, tem bardziej, że prócz byłych żołnierzy snuło się też mrowie „mieszoczników“, szmuglujących cukier i sól. Każdy z nas też zaopatrzył się w niewielki worek i udawał „mieszocznika“. Worek był zresztą potrzebny i dlatego, że w Rosji panowały głód i nędza oraz istniały wielkie trudności z czynieniem jakichkolwiek zakupów. W związku z tem, wypełniliśmy w Homlu worki żywnością tak, aby każdemu starczyło aż do kresu wędrówki. Co do mnie, kupiłem sobie wówczas całą wędzoną szynkę, wagi około dwudziestu funtów, trzy funty cukru, no, i — żeby udawać szmuglującego żywnością — pięć funtów soli. Herbatę przezorniej też było zabrać z sobą, natomiast wrzątek do herbaty

można było w Rosji dostać na każdej stacji, nawet darmo.

O kilka kilometrów od granicy pociąg stanął na końcowej stacji. Wszyscy wysiedli i podążyli drogą ku granicy bądź pieszo, bądź na wózkach chłopskich, które można było wynająć na stacji, zresztą za bardzo wysoką cenę. Wędrujemy i my w tym tłumie, ale każdy zosobna, udając, że się wzajemnie nie znamy.

Na granicy żołnierze niemieccy nie wpuszczali od strony zapowietrzonej rewolucją Rosji nikogo. „Mieszocznicy“, wracający z opróżnionymi workami z Rosji na Ukrainę po nowe zakupy, musieli omijać te posterunki zdala, przekradając się nocą, lasami i bagnami. Natomiast udając się w odwrotnym kierunku, to jest z Ukrainy do Rosji, mogli ocierać się wprost o posterunki, podobnie, jak wszyscy inni, zdążający do bolszewickiego „raju“. Co do wyminięcia posterunków bolszewickich, ludzie mówili, że bezpieczniej jest chować się w tłumie „towariszczów“ na trakcie, niż przekradać się przez zarośla.

Idziemy przeto w biały dzień środkiem szerokiego traktu i nikt, spojrzawszy na nas, nie odgadłby, że w gruncie rzeczy przekraczamy granicę nielegalnie. Nie odczuwamy narazie żadnego niebezpieczeństwa,

a jednocześnie mimowoli stwierdzam, że eskapada nasza traci wiele ze swego pierwotnego uroku.

Bo i cóż mogło grozić? Chyba, że poznałby nas na granicy ktoś, kto znał nas jeszcze z armji rosyjskiej lub z korpusu generała Dowbora, albo też ktoś, kto, będąc kilka dni temu w Homlu, widział mnie tam jeszcze w mundurze oficera polskiego. Ale na to trzeba mieć szczególnego pecha.

W drodze przyglądałem się napotykaney ludności miejscowej, zwłaszcza babom wiejskim, które nosiły bardzo ciekawe i charakterystyczne stroje. Były one zupełnie odrębne, zarówno od ubiorów wielkoruskich, jak małoruskich, białoruskich i polskich. Co to za stroje i jakie mogło być ich pochodzenie? Byliśmy w gubernji Czernihowskiej, a więc w północnej części dawnego polskiego Zadnieprza, w tak zwanej ziemi Siewierskiej. Była to zatem przez nader długi okres „ziemia niczyja“, a następnie zakątek, gdzie kolejno ścierały się wpływy litewskie i tatarskie, potem moskiewskie, litewskie i tatarskie, a następnie polskie, tatarskie, kozackie i moskiewskie. Tędy szli Tatarzy pod Timurem Chromym nad pobliską Worskłę do walnej rozprawy z Witoldem. Tędy też prowadziły szlaki wszystkich trzech Dymitrów Samozwańców z Polski na Moskwę. Myślę, że te oryginalne, wysokie

czapy, które kobiety robią tam sobie z barwnych chustek — to chyba zwyczaj tatarski.

Nareszcie — przekraczamy granicę dwóch światów i przechodzimy na „tamtą“ stronę. Mam świadomość, że jesteśmy na rubieży stosunków europejskich i azjatyckich. Chwila emocji... Tu mają badać skrupulatnie papiery i prawomyślność każdego przybyś-
sza...

Niemniej, ku mojemu wielkiemu zdumieniu, groźnie zapowiadające się „przedzieranie się“ przez granicę poszło tak gładko, jakgdyby to był zwykły spacer.

Urząd, sprawdzający dokumenty, wyglądał operetkowo. Widocznie komisarz, o ile tu wogóle był, wysypiał się jeszcze, z powodu bardzo wczesnej pory — było bowiem coś około godziny 6-ej rano. Kontrolę pełniło dwóch krasnoarmiejców, chłopaków po lat piętnaście-szesnaście, poobwieszanych wszelką bronią, jaką mogli udźwignąć. Szabla przeszkadzała karabinowi, karabin zawadzał o rewolwer. Prócz tego jeden z nich miał granat ręczny. Wszystko razem widocznie ciążyło ogromnie wyrostkom, którzy jednak nie tracili napuszonej powagi i udawali wojaków i dygnitarzy. Jeden z nich, z miną pierwszoklasisty, zaciągającego się po raz pierwszy

papierosem, sięgnął po moje dokumenty. Chociaż nie widziałem tego wyraźnie, miałem wrażenie, że mój dowód osobisty odczytano do góry nogami. Niemniej krasnoarmiejec udawał, że go czyta uważnie do końca. Wreszcie z powagą zaaprobował treść i wskazał mi ręką wolną drogę na wschód, co oznaczało, że mogę korzystać z domniemanych dobrodziejstw rewolucji i że teraz już „naplewat” na wszystkich burżujów świata!

W ten sposób znaleźliśmy się w Rosji. Następnie, kontynuując bez większych trudności marsz tym samym traktem, dotarliśmy niebawem do pierwszej stacji kolejowej po stronie bolszewickiej.



Szeregowy W. P. na Murmanie.

XII. W „TIEPŁUSZCE“.

Z trudem dostałem się do „ciepłuszki“, czyli towarowego wagonu, zaopatrzonego w piecyk, który zresztą był obecnie zbyteczny ze względu na letnią porę. Natomiast wagony pasażerskie były widocznie zbędne, ponieważ wygoda jest przesądem czysto burżuazyjnym. To też pociągi składały się wyłącznie z „ciepłuszek“. Jaki tam był tłok i brud i jakiego rodzaju konwersacje — nietrudno się domyśleć. Byłem wszakże z takiego obrotu rzeczy bardzo zadowolony, wychodząc wciąż z tego samego założenia, że najłatwiej jest ukryć się tam, gdzie najludniej.

Dzięki silnym łokciom, wywalczyłem sobie nawet niezły kąt na podłodze „ciepłuszki“. Kontrolni dokumentów w tym tłumie dokonywano jeszcze szybciej i powierzchowniej, niż na granicy. To też niebawem, ulegając zmęczeniu, zasnąłem tak mocno, że przebudziłem się aż na drugi dzień rano.

Podjeżdżaliśmy do stacji Tuła. Wyrzałem przez drzwi „ciepłuszki“. Na stacji — tłumy, istne mrowie

rozpiętych, podartych i zaszarganych żołnierskich płaszczy oraz cywilnych łachmanów. Na ścianie dworca w Tule, jak zresztą na każdej rosyjskiej stacji, widniał w pewnym miejscu wielki napis „kipiatok“. Oznaczało to, że można tam dostać wrzątku na herbatę, którą każdy sam sobie następnie przyrządzał w pociągu. Bez „czaju“ i „siemieczek“ (czyli pestek słonecznikowych) nie można sobie wyobrazić „ruskiego człowieka“.

I teraz dużo ludzi z czajnikami w ręku pozeskakiwało z wagonów, zanim jeszcze pociąg zatrzymał się całkowicie, i podążyło biegiem po ów „kipiatok“ przepychając się wzajemnie i klnąc, na czym świat stoi. Pozostali w wagonach śpiewali chórem znaną pieśń:

Ej! dierwień, dierwień-Katuga! Tuła-rodina moja!

Ej! Tuła, Tuła-ja! Tuła-rodina moja!...

Tu i ówdzie odzywały się bałabajki i harmonje. Gorzej, że wkoło niemiłosiernie woniało potem i kapustą, a ponad wszystkim unosiły się przekleństwa i „słówka“, od których każda zwykła niewiasta ze „zgnilego zachodu“ zapadłaby się pod ziemię. Na szczęście, prócz żołnierzy, wracających z frontu, chłopów oraz bab z pod Tuły, nikogo nie było. Każdy, kto nie był chłopem, robotnikiem lub żołnierzem,

musiał się za takiego przebrać, jeżeli nie chciał postradać życia i mienia, zaś każdego oficera, zwłaszcza polskiego, rozerwanoby tu na sztuki.

Taka była wolność w pojęciu rosyjskiej rewolucji i takim był folklor stacji Tuła w lipcu roku 1918.

Ogólne tło uzupełniała gęsta warstwa łupin od „siemieczek“, pokrywających peron, ziemię między szynami, podłogi wagonów i wogóle wszystko. Aczkolwiek większość podróżnych była wciąż głodna lub przynajmniej nie dojadła, na „siemieczki“ stać było każdego. Każdy -prawy rewolucjonista gryzł je bez przerwy, niemal przez cały dzień, spluwając łupiny wprost przed siebie, bez względu na to, gdzie się znajdował i kto był przed nim. Wyrażało to pewien swoisty, rewolucyjny styl, a zarazem było jak-gdyby pewnym rodzajem legitymacji proletarjackiej. Plując niedbale przed siebie, wyrażało się zarazem pogardę do wszelkich dawnych przepisów współżycia między ludźmi, obalonych wraz ze znienawidzonym „starym régimem“ politycznym. Wziąwszy tedy w jedną rękę czajnik, a w drugą — porządną garść „siemieczek“, powędrowałem po ów „kipiatok“. Wpierw jednak stanąłem opodal kotła z wrzątkiem i patrzyłem na tłoczących się z czajnikami „towariszczów“. Przed wyjazdem bowiem nakaza-

łem swojej partji, aby na większych stacjach kolejowych każdy z ułanów szedł po „kipiatok“, bez względu na to, czy będzie mu się chciało herbaty, czy też nie.

Był to mój jedyny sposób przeprowadzania apelu i kontroli, czy wszyscy są obecni. Z reguły siadaliśmy bowiem każdy zosobna do innych całkiem wagonów i nie widywaliśmy się wcale, z wyjątkiem udawania się po wrzątek, gdzie niepodobna było wzajemnie się nie zauważyć.

Oto zbliża się w tłumie plutonowy Grabski. Trudno go zaiste poznać zdaleka, tak dobrze się ucharakteryzował. Niepotrzebnie tylko odwrócił nagle głowę na mój widok. Martyn, podchorąży z szarży, a chorąży pułkowy — z funkcji, którego tyle razy widywaliśmy na czele kolumny pułkowej ze sztandarem w rękę, więcej już może wzbudzać wątpliwości swym wyglądem. Jest stanowczo za przystojny, za okazały, za inteligentny i ma zbyt wyniosły wyraz twarzy. Wszystko zaś tu, co nie jest szare, plugawe i zniwelowane do poziomu całego tłumu, nie jest teraz dobrze widziane.

Zato zachowanie się Martyna jest pewne siebie i wystarczająco bezczelne, aby mogło razić i odbijać od zachowania ogółu.

Mijając mnie, popatrzył na mnie wzrokiem człowieka, który mnie wogóle nie widział nigdy i nie dostrzega nawet w chwili obecnej i ostentacyjnie opluł mi połą od płaszcza, zaszarganego już zresztą w należyty sposób.

— Ci dwaj nie dadzą się złapać — pomyślałem sobie, wypatrując pozostałych czterech.

Niestety — wypatrywałem nadaremnie. Wielki kocioł rewolucyjny pochłonął ich na zawsze; daremne były wszelkie poszukiwania. Nigdy nie dowiedziałem się, gdzie, jak i dzięki czemu dostali się w ręce „czrezwyczajki“. Myślę, że stało się to dlatego, iż, nie znając dostatecznie języka rosyjskiego, zwrócili na siebie uwagę, a wzięci w krzyżowy ogień pytań na śledztwie — zdradzili się jakąś sprzecznością w zeznaniach.

Zresztą — czy ja wiem, co się z nimi stało? To tylko pewne, że, zgłosiwszy się na Murman na ochotnika, z nad granicy, którą tak łatwo było przekroczyć, nie zawrócili dobrowolnie i „apelu“ mojego na stacji Tuła samowolnie nie opuścili. Musiało coś się stać...

Ale trudno — niema rady! Trzeba jechać dalej i wydać rozkazy, którejdy jechać. Po takiej jednak szczerbie w szeregach partji, już na samym początku

wielkiej podróży, nie chciałem prowadzić resztek przez Jarosław, gdzie rozpoczęły się walki między „czerwonymi“ i „białymi“ i gdzie kontrola przejeżdżających musiała być z pewnością zaostrzona.

— *Daj-ka prikurit!* — powiedziałem do Martyna, zbliżając się ze skrzyconym z machorki papierosem w rękę.

— *Daleko otsiuda w Rianzań?* — pytam go w dalszym ciągu. Martyn wzruszył ramionami. Odpowiedź była zbędna, bo zapytanie było umówioną zawczasu formą rozkazu.

To samo pytanie zadałem po chwili Grabskiemu.

W godzinę potem, przesiadłszy się do innego pociągu, jechaliśmy wszyscy trzej w kierunku Riazania.

Każdy z nas zadawał sobie pytanie, gdzie są nasi towarzysze broni? Najprzykrzejsze przecież było to, że chcąc wypełnić obowiązek, nie można było w tej sytuacji zająć się losem kolegów. Każdy musiał jechać samopas, i widywaliśmy się tylko przy okazji czerpania wody na herbatę.

Począwszy od Tuły, porzuciłem charakter „mieszcznika“ i zwierzyłem się otoczeniu w „ciepłuszce“, że jadę do Riazania po rodzinę, która przebywa tam w charakterze „bieżeńców“. Udawać „mieszcznika“

przez czas dłuższy i nigdzie niczem nie handlować — było niepodobieństwem. Handlować zaś — byłoby ponad moje siły, zwłaszcza, że narażałoby mnie to na rozmowy na wszelkie tematy, wielce niebezpieczne dla zachowania mojego *incognito*. Można było przytem dostać się do więzienia za handel, a w więzieniu z kolei wydać się przypadkowo jakimś drobiazgiem ze swej przynależności do formacji polskich.

XIII. NIESPODZIANKA.

Nieduży dworzec kolejowy w Riazaniu był tak samo brudny, zapluty, pokryty łuskami od „siemieczek“, jak cała ówczesna Rosja. Jużemy się do tego zresztą zaczęli przyzwyczajać.

Gorzej, że na dworcu panowała dziwna jakaś pustka. Przypadek chciał, iż byliśmy prawie jedynymi, którzy wysiedli w tem gubernjalnem, bądź co bądź, mieście. Czy to zrządził traf czy inna jakaś przyczyna — Bóg to raczy wiedzieć. Dość, że byliśmy sami na pustym dworcu, a dzięki temu łatwo mogliśmy zwrócić na siebie niepożądaną uwagę bolszewickich stróżów bezpieczeństwa.

Nadomiar złego była pierwsza w nocy i niepodobna była s z u k a ć znajomych w mieście. Wtedy to już na pewno nie pierwszy patrol — to drugi, nie drugi — to trzeci wylegitymowałby nas i przerwał w mniej lub więcej przykry sposób nocną włóczęgę po ulicach. Przecież w sąsiednim Muromie wybuchła

podobno kontrrewolucja, więc i Riazań przeżywał coś w rodzaju stanu wojennego.

Wobec tego trzeba było powiedzieć Martynowi, co robić dalej. Skręciłem papierosa z machorki i zwróciłem się do Martyna, jak do obcego sobie człowieka: — *Towariszcz, daj-ka prikurit!...* Zapalając papierosa, szepnąłem, że mają czekać na mnie na dworcu do południa dnia następnego. Zobaczyłem na twarzy Martyna zdziwienie — ale cóż? Tak być musiało. O godzinie ósmej wyjdę dopiero na miasto. Odszukanie znajomych, narady z nimi, znalezienie jakiegoś wyjścia z sytuacji, powrót na dworzec po Martyna i Grabskiego — wszystko to wymagało przecie czasu.

W nocy drzemałem przy jednym ze stolików w bufecie. W pewnej chwili zbliżył się do mnie jakiś drab z karabinem w ręku, o nieokreślonej bliżej funkcji. Jakże można ją było określić, gdy mundurów ani odznak nie używano, a broń mieli przy sobie wszyscy wogóle komuniści. Charakterystyczna tępota, fanatyzm i dzika bezwzględność malowała się na twarzy draba, jak u nich wszystkich. Oczy miał bardzo bystre. Mógł być zatem zarówno prezesem „cze-ka“, jak prezesem miejscowego „sowdepu“ lub poprostu szeregowym — „krasnoarmiejcem“. Snuł się po dworcu z oczyma ogara, błędzącymi po wszystkich kątach. Na

szczęście stolik mój nie stał w kącie, lecz właśnie na samym środku sali, a to był ważny moment psychologiczny. Podniosłem akurat głowę. Przez chwilę oczy jego spoczęły na mnie. Czy będzie mnie legitymował? To nie byłoby jeszcze niebezpieczne. Gorzej — jeżeli, nie mając nic lepszego do roboty w tej pustce nocnej, zechce wdać się w jakieś wyczerpujące indagacje, na przykład: poco tu przybyłem, do kogo, z jakiego pułku pochodzę, a kto tam dowodził, a gdzieśmy byli z pułkiem, miesiąc, dwa, trzy miesiące temu... Nic łatwiejszego, jak „wpaść“ przy tego rodzaju indagacji. Spojrzałem tedy na niego obojętnym wzrokiem, ziewnąłem, plunąłem na podłogę i znowu położyłem głowę na stoliku, zamknąwszy oczy. Słyszę kroki obok. Zatrzymał się. Wziął do ręki mój worek. Pewno teraz zagląda do środka. Słyszę oto, że go położył, a raczej cisnął zpowrotem na ławkę, i poszedł dalej. Odetchnąłem. Widocznie muszę robić dobre wrażenie, jednak wolałem nie podnosić więcej głowy i udawałem śpiącego aż do rana. Jak tam z Martynem i Grabskim — jak zwykle narazie nie wiedziałem. — Dowiem się — myślę — gdy spotkam ich jutro o dwunastej, albo — gdy ich właśnie nie spotkam...

O ósmej rano wziąłem worek i powędrowałem na miasto. Tu czekała mnie przykra niespodzianka.

Poszedłem do jedynych znajomych w tem mieście, doktorostwa Siawciłłów, według adresu, użyzonego mi przez moją matkę. Bowiem doktor Siawciłło był takim samym „bieżeńcem“, czyli uchodźcem z Litwy w Riazaniu, jak matka — w Homlu. Był to typowy, jowialny szlagon starej daty, potrochu praktykujący, traktujący medycynę jedynie, jako zawód uboczny. Jego zajęciem głównem było beztróskie bytowanie w niedużym majątku; ubóstwiał nadewszystko konie i polowanie. Ileż to cietrzewi nastrzelałem w swoim czasie w jego Sutkach! Wogóle okolice Taurogów i Botok obfitowały w te ptaki, a nic chyba w życiu nie przyprawiało mnie o taką emocję, jak zrywanie się z pod pyska wyżła ciężkich, objedzonych „sinicami“, jak mówią na Litwie, cietrzewi.

Poza tem pan Siawciłło, choć tylko doktor wojskowy, oddawna na emeryturze, był chodzącą encyklopedją wojenną. Historję Polski i dzieje polskiego oręża znał nawylot, zarówno ze strony faktycznej, jak i anegdotycznej. Można było spędzić w Sutkach dwa dni (na Żmudzi nie wypuszcza się gościa wcześniej z domu) i nie mówić o niczem innem, jak tylko o tem, jakiego to, na przykład, pomocnika miał książę Józef w swoim szefie sztabu, generale Fiszerze. Z pewnością nie każdy wie, że Fiszer zginął w bitwie

pod Tarutinem. Doktor Siawciłło wiedział, jak to było, co i dlaczego, w jakim mundurze, na jakim koniu siedział Fiszer, w czyjem otoczeniu i jakim pociskiem został zabity — słowem: wiedział wszystko.

Niejedno pudło na polowaniu zawdzięczałem tym nieskończonym rozmowom. Pani Siawciłłowa ponadto była moją chrzestną matką.

Otóż teraz zdążałem, pełen otuchy, pod wskazany adres. Dzwonię. Otwiera jakaś stara kobiecina.

— Doktor Siawciłło w domu? — pytam po rosyjsku.

— Niema, panoczku, niema — odpowiada prostopodusznie pocziwina.

— Jak niema, to poczekam, póki nie wróci — mówię.

I tu wali się na mnie wieść hiobowa:

— Wyjechali do Polszy — akurat wczoraj.

W pierwszej sekundzie byłem przerażony takim obrotem sprawy, później — wściekły na samego siebie. Gdybym o jeden dzień krócej bawił w Homlu lub o jeden dzień wcześniej wyjechał z Bobrujska... Ale trudno! Zakręciłem się na pięcie i poszedłem, a babina zatrzaskała drzwi mieszkania.

— Do diabła, co robić? Na Moskwę i Jarosław jechać w tej chwili nie można, statkiem na Murom —

też nie. Wracać — za nic w świecie. Mógłbym jeszcze pojechać do Rżewa, a stamtąd chyba na Petersburg, a raczej, jak go teraz nazywają — na Piotrogród. Ale w ten sposób można kołować po bezbrzeżnej Rosji do samej śmierci. Postanowiłem tedy jechać na Jarosław, przed Jarosławiem wysiąść z pociągu i, jeżeliby powstanie tam jeszcze trwało — okrążyć go pieszo, a później znowu siąść w Wołogdzie na pociąg do Archangielska. Ale ile mi to zajmie tygodni? I jakie są szanse powodzenia? Otrzeć się niejako bokiem o oblężenie Jarosławia i nie zwrócić na siebie niczyjej uwagi, ani podejrzenia? — Ha! trudno! Gdy niema innej rady, trzeba tak, a nie inaczej...

Kieruję się tedy znów na dworzec kolejowy. Nagle przychodzi mi nowa myśl. Ta baba-służąca, czy też przebrana za służącą właścicielka domu, w którym mieszkał dr. Siawciłło — nie wygląda podejrzanie. Wracam tedy zpowrotem i dzwonię po raz drugi. Otwiera z niepokojem i nieufnością i przygląda się bacznie natrętnemu gościowi. — Jestem Polakiem, przyjacielem doktora Siawciłły — ramię oddawna nierąbaną prawdę. — Z pewnością są tu jeszcze bieżący polscy w Riazaniu. U kogo bywał doktor Siawciłło i kto bywał u niego?

Kobieta spojrzała jeszcze bardziej nieufnie i za-

częła dawać niejasne odpowiedzi. Polaków bieżenców jest bardzo dużo, ale ona nic nie wie i o niczem wiedzieć nie chce. Ona się do niczego nie wtrąca. Udało mi się wkońcu wydusić jedno, że doktor Siawciłło, jak i całe zresztą miasto, bywał codzień w cukierni, która należy do jednej Polki, „bieżenki“.

— Jak nazwisko tej pani?

— Pani Zajączkowska.

— Czy nie z Kowna? — pytam.

— Może i z Kowna — a kto ich wie! Zdaje się, że z Kowna — odpowiada po namyśle.

E u r e k a! Jesteśmy uratowani!

XIV. O A Z A.

Nareszcie siedzimy w schludnem mieszkaniu (wyfroterowaniem!), z firankami (białemi!), przy stole. Stół jest nakryty obrusem. Wdycham czystą atmosferę malutkiego, „burżuazyjnego“ mieszkanka polskiej rodziny.

Cóż dopiero mówić o noclegu! Przedewszystkiem — rozebrałem się po raz pierwszy od szeregu dni. Teraz leżę na łóżku z materacem. Łóżko to jest śnieżno-białe. Obawiam się tylko, że nie wyjdzie mu na dobre zetknięcie się ze mną po naszej podróży.

Z rana — miła rozmowa przy śniadaniu.

Pani Zajączkowska, mieszkająca tu od początku wojny ze swym chorym mężem i śliczną córeczką, jest urocza.

Poza tem te panie albo nie zdają sobie sprawy z niebezpieczeństwa, które im grozi za ukrywanie takich ludzi jak my, albo, jeżeli orjentują się, jaka grozi im za to odpowiedzialność — to są bohaterkami. Tłumaczę im to wszystko; są bardzo rade, że mogą coś

zrobić dla wojska polskiego. Pokazują mi z dumą sążniste wycinki z gazet rosyjskich, drukowanych rok temu, w których ówczesna prasa rozpisywała się z entuzjazmem o szarży ułanów polskich pod Krechowcami.

Przeglądam pobieżnie wstępne słowa wzmianek i artykułów. Dzienniki rosyjskie nastrojone były wówczas bardzo minorowo z powodu klęsk armji Kiereńskiego oraz wzrastającego fermentu bolszewickiego w jego armji. Z tem większym zachwytem rozpisywały się o Krechowcach.

„...Dawna sława polskich pułków, wskrzeszona dziś na smutnych polach hańby i bólu przez dzielny pułk polskich ułanów...”

„...Na ogólnem smutnem i beznadziejnem tle ja-skrawo występują pojedyncze, bohaterskie epizody. W bitwie pod Krechowcami okrył się niezniszczalną sławą polski pułk ułanów, który sześć razy szarżował w konnym szyku...”

A oto i komunikat naczelnego dowództwa rosyjskiego o Krechowcach.

Zkolei biorę do ręki wycinki polskie:

„...Przed kilku dniami obiegła całą prasę europejską wiadomość o bohaterskich walkach pułku ułanów polskich...”

Odnajduję też w jakimś wycinku polskim niewiadomo jakim cudem dopuszczony przez rosyjską cenzurę odpis listu pułkownika Mościckiego do Rady Stanu, listu, pisanego bezpośrednio po obronie Stanisławowa.

„Uznając powagę Rady Stanu i ciężkie zadanie, jakie wzięła na swoje barki, przesyłamy jej wyrazy głębokiego szacunku.

Nowopowstającemu Rządowi Polskiemu składamy hołd.

Przewodnikowi i budzicielowi militarnego ducha Polaków, generałowi Piłsudskiemu, wiernemu synowi ojczyzny — czołem!

Wierząc w rychłe wszystkich Polaków, walczących obecnie pod obcemi sztandarami o wolność ojczyzny, zjednoczenie w nowopowstającej pod sztandarem narodowym armji w kraju, ślemy serdeczne braterskie pozdrowienie...”

Pani Zajączkowska zapytuje mnie, czy nie stykałem się z 1-szym pułkiem ułanów i jego dowódcą.

— Jestem właśnie ułanem krechowieckim — bąknąłem, niby od niechcienia, czując zarazem, jak na dostojnej glorii pułku osiada brzydki robak mojej pychy. To zdobyło mi jednak sympatje do reszty.

Ze swej strony byłem rozkochany w atmosferze

polskiej i wzruszony sercem biednych „bieżeńców“. W niespełna godzinę po śniadaniu zaszliśmy z panią Zajączkowską do pana Woźniakowskiego, adwokata, przybyłego tu z Jadowa pod Warszawą, który był podczas wojny prezesem Związku Polaków w Riazaniu.

Przedewszystkiem zacząłem wypytywać się o doktora Siawcillę. Okazuje się, że, jako lekarz, kurował on dygnitarzy sowieckich i dlatego jemu właśnie jednemu z pierwszych pozwolono wyjechać do kraju. Zresztą panuje tu głód; jest nadzieja, że bolszewicy niebawem zechcą pozbyć się wszystkich Polaków, czego wszyscy oczekują z utęsknieniem. Narazie jednak nikomu jechać do Polski nie wolno. Można tylko tęsknić do kraju, oczywiście pocichu, bo Polska — to kraj burżuazyjny, a tutaj przecież jest „raj“.

Rozmowa przeszła niebawem na tory moich planów murmańskich. Jak i któredy się tam przedostać? Pan Woźniakowski nie tylko udzielił mi cennych informacji, ale ofiarował mi swój paszport, wystawiony na imię adwokata Woźniakowskiego z Riazania.

— A pan sam co będzie robił bez paszportu? — zapytuję.

— O! ja mam jeszcze inne dowody osobiste, które mi wystarczą!

— No, dobrze — mówię — jeżeli nas jednak złapią w drodze, przecież wówczas trafi pan pod sąd za udzieloną pomoc...

— Ależ nie mówmy o tem!...

Nie wiem, czy więcej się należało szacunku czy wdzięczności panu Woźniakowskiemu i państwu Zajączkowskiemu?

Zgodnie z ich radami, wybrałem podróż wodną, okrężną marszrutą na Niżny Nowgorod, Kazań i Wiatkę, aby ominąć Moskwę i Jarosław, objęte stanem oblężenia.

XV. „POKAZAĆ DOKUMENTY!...“

Podróż statkiem w lipcu po wielkiej rzece, jaką jest Oka, w porównaniu do jazdy „ciepluszką“, była dużo wygodniejsza. Można powiedzieć, że byłaby nawet całkiem przyjemna, gdyby nie ustawiczna obawa kontroli dokumentów. Wprawdzie lepiej było, że miałem już paszport z głębi Rosji, a nie z Bobrujska, znanego siedliska „białopolaków“. Niemniej jednak przyzwyczaiłem się już, że jestem Zarzycki, podoficer 100-go pułku piechoty rosyjskiej, a teraz musiałem uczyć się napamiąć i na wyrywki swego nowego imienia i nazwiska i całego *curriculum vitae*, na wypadek, gdyby o nie pytano, bo gdy zapytają, to już wówczas nie czas namyślać się i jękać.

Po drugie, w paszporcie stało, jak wół, że mam lat czterdzieści i że jestem niski brunet. Tymczasem w rzeczywistości byłem o piętnaście lat młodszy, blondyn i co najważniejsze — wysokiego wzrostu. W wyniku starałem się nie zdejmować czapki i nie opuszczać podniesionego kołnierza, ażeby jako tako

ukryć czuprynę. Różnicę wieku trochę wyrównywał oddawna niegolony zarost, który zresztą pogorszał moje szanse, jako notorycznego bruneta. Najgorzej było ze wzrostem. Dopóki się chodziło — a niepodobna było bez tego się obejść — żadne kurczenie się czy garbienie nie pomagało: różnica była zbyt wielka. Chodziłem przeto normalnie, ale starałem się zawczasu zauważyć zbliżanie się kontroli. Zauważywszy ją zdala, kładłem się lub siadałem, nakrywając długie nogi płaszczem i garbiąc się niemiłosiernie.

Trzeba było zatem wciąż uważać, bo kontrole odbywały się dość często. Płynąc bowiem Oką, mineliśmy właśnie miasto Murom, gdzie przed tygodniem bolszewicy wykryli i krwawo zlikwidowali jakiś spisek. Z drugiej strony, ze smutkiem przeczytałem dzisiaj w bolszewickiej gazecie wiadomość z Niżnego Nowgorodu, że znowu aresztowano tam dwudziestu „polskich legionierów“. Może to akurat partja Bronka Romera? W każdym razie murmańczycy albo sybiracy — jedno z dwojga.

Wzmianki tego rodzaju pojawiały się już od kilku dni w korespondencjach z różnych miast rosyjskich, leżących na szlakach murmańskim i syberyjskim.

Mimo wszystko podróż była znośna, a nawet przyjemna. Pogoda śliczna — ciepła i słoneczna,

statek — o wiele mniej zapluty i zawszony, niż pociągi. Zresztą nie było na nim wcale tłoku. Umieściłem się na samym tyle, wśród zwojów lin, i tam spędzałem dni i noce. Między mną a przyrodą nie było nikogo. A było na co patrzeć, zwłaszcza o wschodzie i zachodzie słońca! Brzegi rzeki nie odznaczały się szczególną malowniczością, ale zato było słońce i woda — dużo wody... Gdyby Bóg nie stworzył nic więcej, prócz wschodu i zachodu słońca, świat byłby bosko piękny. Ta reszta świata, która wojuje i robi rewolucje, istnieje chyba tylko dla kontrastu. Zaiste, człowiek popełnia dużo zbrodni, o których mówi się i pisze. O jednej mówi się za mało: o rozbracie człowieka z przyrodą. Ludzie patrzą na nią i nie widzą jej, jakgdyby im wyłupiono oczy.

Którejś nocy spałem sobie w najlepsze, gdy nagle zbudził mnie energiczny, tubalny głos:

— Pokazać dokumenty!

Drgnąłem i chciałem się zerwać na równe nogi, ale podświadomie powstrzymałem się od tego, pamiętając, że należy koniecznie leżeć — ale czemu i dlaczego? Byłem zaspany i nie od razu zdołałem sobie to przypomnieć... Aha! — trzeba ukryć kompromitująco długie nogi i wogóle nadmiar wzrostu...

Tymczasem legitymujący pasażerów komisarz

zbliżył się już do mnie. Gorączkowo zacząłem powtarzać w pamięci wszystkie odpowiedzi, jakie przygotowałem na wszelkie dające się przewidzieć pytania.

Niestety, zapomniałem odpowiedzi na pytanie najważniejsze — mianowicie, jak brzmi moje nazwisko! Pamiętam, że nie nazywam się już Zarzycki, ale — do diabła! jak brzmi nazwisko tego adwokata z Riazania, którym jestem...

Wszystko to przesunęło mi się przez mózg z szybkością błyskawicy, mimo to było już zbyt mało czasu, by zajrzeć w paszport wobec bolszewika, kierującego ku mnie swe kroki i wyciągającego rękę.

Przyznam się, że doznałem uczucia dziwnego strachu. Potrzeba było wielkiej siły woli, aby nie mrugnąć niepotrzebnie okiem, uspokoić drżenie ręki, wyciągającej z kieszeni dokumenty, i aby wogóle zamaskować nagłą emocję najzupełniejszą obojętnością i zasnaniem.

Zdaje się, że zewnętrznie udało mi się to w stu procentach. Bałem się tylko, żeby bolszewik nie usłyszał wzmożonego bicia mego serca. Co to jednak znaczy zaskoczenie! Można zapomnieć najprostszej rzeczy i niema czasu, aby opanować należycie nerwy.

Na szczęście bolszewik nie wdawał się w żadne

rozmowy, spojrział powierzchownie w paszport, mruknął coś pod nosem i poszedł dalej.

Nie odszedł ode mnie nawet o dwa kroki, gdy olśniła mnie nagle świadomość, że jestem Woźniakowski...

XVI. NA GRUZACH TATARSKIEJ POTĘGI.

Korzystając z tego, że w Kazaniu trzeba było opuścić statek, kursujący po Wołdze, i przesiąść się na inny, krążący po Kamie i Wiatce, wysiadłem na ląd i poszedłem zwiedzić miasto.

I nie pożałowałem tego. Wprawdzie Kazań, jak każde inne miasto rosyjskie, roił się teraz od niechlujnego robactwa ludzkiego, wężącego krew i rabunek—trzeba jednak było zamknąć na to oczy, a otworzyć je na cuda architektury.

Prócz rozpanoszonej, jak wszędzie, secesji, szpecącej całe dzielnice, Kazań posiada moc zabytków w stylu bizantyjskim. Poza tem zwracają uwagę zabytki pochodzenia azjatyckiego, pozostałe po Tatarach. Jest to coś pośredniego między meczetami maurytańskimi a chińskimi pagodami; poszczególne gmachy oscylują między temi krańcowemi wzorami, ale ich strzeliste wieże jednako odbijają od przysadzystych bizantyjskich kopuł, nadając miastu swoiste

i nieco egzotyczne piętno. Optycznie wierzyć się nie chce, że to miasto rosyjskie.

Przetrwały sędziwe mury i strzelista wieża, gdzie poległ, broniąc się do upadłego przed Moskwą, ostatni tatarski władca Kazania. Kazań, podobnie, jak Astrachań, był niegdyś stolicą potężnego tatarskiego księstwa, przed którym drżeli ówcześni moskiewscy książęta i któremu w ciągu dwóch wieków musieli płacić daninę. Gdy podbite ruskie plemiona wzrosły na sile, najprzód wyzwoliły się z niewoli, a następnie same uderzyły na stolicę najeźdźców. Zdobycie Kazania położyło kres nie tylko potędze, ale i istnieniu chaństw tatarskich nad Wołgą.

Od tego właśnie czasu całe Nadwołże stało się dla Moskwy terenem ekspansji i źródłem wciąż wzrastającej potęgi. Wchłonawszy w swój państwowy organizm liczne plemiona nadwołżańskie i korzystając z niezmiernych bogactw dorzecza olbrzymiej rzeki oraz Uralu, a potem — zauralskiego Sybiru, Rosja spotężniała o tyle, że napór jej na zachód, to jest na Polskę, stał się coraz groźniejszy.

Dochodzę teraz do starej cerkwi, zbudowanej przez Moskali na pamiątkę zdobycia Kazania. Cerkiew, jak mówią, stanęła na piramidzie z tatarskich

kości. Śmieję się z tego; byłby to zbyt kruchy fundament dla murów gmachu.

Wszedłszy do wnętrza przekonałem się jednak, że w tej ociekającej krwią legendzie jest dużo prawdy. Nie wiem, na czym spoczywają fundamenty murów, ale środek posadzki stanowi w pewnym punkcie kratę. W cerkwi panuje charakterystyczny dla wschodnich świątyń mrok, i przez dłuższy czas nie można dojrzeć, co się znajduje pod kratą. Wreszcie wzrok przyzwyczaja się do ciemności i rozpoznaje ohydę, po której stąпам. Pod kratą widnieją ludzkie czaszki... Jak głęboki jest dół, wypełniony szczątkami ostatnich obrońców niepodległości Kazania — Bóg raczy wiedzieć. Historia mówi, że całą załogę miasta, wraz z bohater-skim chanem, wycięto w pień.

Te czaszki — przyznaję — zrobiły na mnie wrażenie. Zatraciłem świadomość, że znajduję się w chrześcijańskiej świątyni, nie zaś — w świątyni Molocha. Ale cóż? Byłem w Rosji, a o Rosji sami Rosjanie mówią, że jest to kraj „niczem nieograniczonych możliwości“.

Wyszedłszy z tego przybytku zemsty, snułem się jeszcze parę godzin tu i ówdzie, starając się wybadać nastrój ludności.

Na ulicach i bazarach miasta szeptano, że Kołczak,

wódz kontrrewolucji na Syberji, połączywszy się z korpusem czeskich legionistów, prowadzi ofensywę w kierunku Kazania. Zmieniało to naszą sytuację o tyle, że ofensywa ta mogła nas zagarnąć w dalszej drodze na Murman.¹

Nie byłoby w tem żadnego nieszczęścia, gdyż wstąpilibyśmy wówczas do polskich formacyj syberyjskich. A może wogóle zawrócić z drogi i skierować się odrazu z Kazania nie na Archangielsk, lecz ku zbliżającym się wojskom Kołczaka?

Po namyśle zrezygnowałem z tego dla tych samych przyczyn, dla których nie chciałem w swoim czasie jechać nad Don. Krechowiacy z Romerem na czele udali się na Murman, nie na Syberję — nie chciałem się wyłamywać z pod dyscypliny pułkowej.

W wyniku tych rozważań siedzimy oto znowu na pokładzie statku, który nas wiezie na północ.

¹ Wkrótce po naszym przejeździe wojska Kołczaka zdobyły Kazań, ale następnie poniosły klęskę i zostały całkowicie zlikwidowane, co postawiło w sytuacji bez wyjścia Polską Dywizję Syberyjską pułkownika Czumy.

XVII. W I A T K A

O ile do Kazania jechaliśmy po Ocie i Wołdze z wodą, to, począwszy od Kazania, musieliśmy dążyć już pod wodę. Rzeka Wiatka jest niewiele większa od Niemna, i mały statek posuwał się bardzo powoli. To też podróż po Kamie, a następnie po Wiatce, zajęła nam dwa razy więcej czasu, niż podróż po Ocie i Wołdze.

Ogółem byliśmy na wodzie już około tygodnia.

Mimo, że posunęliśmy się bardzo na północ, klimat jest łagodny i ciepły. Mówią, że dopiero w zimie bywają tu trzaskające mrozy. Brzegi rzeki są nawet malownicze. Śliczne łąki i gaje przybrzeżne, względna kultura rolna i bujna roślinność obalają zakorzenione w umyśle mniemanie, że okolice Wiatki — to mniej więcej to samo, co Syberja. Zresztą podobno i Syberja jest krajem dość pięknym, a martyrologja popowstańcowa Polaków na Syberji oraz w północnych guberniach Rosji Europejskiej wynikała nie z ciężkich wa-

runków klimatycznych, lecz z tęsknoty za krajem i z surowych warunków bytu zesłańców.

Nie bez wzruszenia spoglądałem na kraj, w którym i mój ojciec, jako młody chłopiec, spędził kilka lat po roku 1863. Szkoda, że nie mogłem wysiąść na jednej ze stacyj i, podążywszy do znanej mi z nazwy miejscowości jego osiedlenia, rozpytać się starszych ludzi, czy nie pamiętają zesłańca Wilhelma Chrzastowskiego.

Dotarliśmy wreszcie bez przygód do miasta Wiatki. Tu trzeba było przesiąść się na pociąg, aby koleją dostać się do Kotłasu, miasta, leżącego nad rzeką Dźwiną Północną. Stamtąd można jechać znowu statkiem aż do Archangielska, leżącego opodal ujścia Dźwiny Północnej do morza Białego.

Dotychczasowa podróż wodna, z wyjątkiem paru nieprzyjemnych chwil, poszła nader gładko i bez żadnych przeszkód. Zaczynałem mieć nadzieję, że tak będzie i nadal. Rzeczywistość przyniosła rychłe rozczarowanie. Okazało się, że trudności wzrastały w miarę zbliżania się do celu.

Dotychczas kupowaliśmy bilety w zwykłych kasach. Kto miał pieniądze, dostawał za nie bilet bez przeszkód; kto nie miał — mógł podróżować na gapę bez żadnego niebezpieczeństwa osobistego. Bardzo

wielu chłopów i robotników nie kupowało biletów, licząc na to, że ich nikt nie wyrzuci; to nie stanowiło jeszcze żadnego tytułu do podejrzenia o rewolucyjną nieprawomyślność. Zresztą inne draby kontrolowały bilety, a inne sprawdzały dokumenty pasażerów i ich polityczną lojalność. Okazało się wszakże, że, porzuciwszy od miasta Wiatki, będzie inaczej. Tutaj już kasa kolejowa wogóle nie sprzedawała biletów, o ile się nie przedstawiło dokumentów osobistych, a nadto — specjalnego świadectwa prawomyślności rewolucyjnej i zezwolenia władz na przejazd z Wiatki do Kotłasu.

— Dlaczego? — pytam w kasie. Za całą odpowiedź kasjer wskazuje mi ręką listy gończe, rozlepione przy okienku. Listy ścigały kilku komisarzy, którzy, zdefraudowawszy zawrotne sumy, uciekali właśnie zagranicę drogą na Wiatkę i Archangielsk. Po drugiej stronie kasy wisiał ogromny plakat, zatytułowany „Wsiem, wsiem, wsiem!” i zwracający uwagę wszystkich władz, wszystkich „towarzyszów” i komunistów na masowe przekradanie się na Murman „kontrewolucyjnych żołnierzy z polskich legjonów”.

Sytuacja zatem pogarszała się. Idąc stąd do celu podróży piechotą, musielibyśmy maszerować do Archangielska chyba ze dwa miesiące, wywołując

zresztą po drodze podejrzenia w każdej wiosce i każdym miasteczku. Żeby zaś dostać się na kolej, trzeba było najpierw zawrzeć znajomość z przedstawicielami miejscowego „sowdepu“. *Tertium non datur*. Zwłaszcza wizyta w „sowdepie“ nie uśmiechała mi się bynajmniej.

Pytam tedy ze smętną miną, na jakiej ulicy i w jakim gmachu ten „sowiet“ urzęduje? Na to kasjer pokazuje mi sąsiednie okienko, przy którym stał już olbrzymi ogonek interesantów.

To polepszało niezmiernie sytuację. Okazało się, że z powodu tłumnego zapotrzebowania na zezwolenie przejazdu do Kotłasu, miejscowy „sowdep“ uruchomił na dworcu kolejowym aż dwie swoje ekspozytury, trudniące się specjalnie wydawaniem takich właśnie świadectw, za opłatą. Przedstawiało się przez okienko dokumenty osobiste, wyjaśniało cel podróży — i oczywiście wpłacało pieniądze, co, zdaje się, odgrywało rolę najważniejszą. Dostawszy w okienku zaświadczenie z pieczęcią „wiatski sowiet sołdatskich i raboczych deputatów“, szło się z tem do kasy kolejowej i kupowało bilet za właściwą opłatą.

Z trudem docisnąłem się w ogonku do ekspozytury. Przy okienku panował tłok, gwar i pośpiech, który zapewniał mi powodzenie. I rzeczywiście, bol-

szewik, urzędujący w ekspozyturze, obejrzawszy pieczęcie mego paszportu, nie spojrzał nawet na jego posiadacza. Śpieszno mu było do moich rubli i do tych następnych, które wyciągano ku niemu z poza mnie.

Trwało to dosłownie kilka sekund. Kupienie biletu przez posiadacza takiego listu żelaznego „sow-depu“ było już tylko czczą formalnością.

Wpadłem tedy w świetny humor i pogwizdując, skierowałem się szybkim krokiem na peron. Nagle — ktoś chwytą mnie mocno za łokieć. Drgnąłem i obejrzałem się niespokojnie. Zobaczyłem przed sobą bladą twarz Martyna, który, widać to było wyraźnie, miał mi do zakomunikowania jakąś bardzo nieprzyjemną wiadomość.

Poszliśmy więc w kierunku ubikacji i tam dowiedziałem się, że Martynowi nietylko nie chcieli wydać zaświadczenia, ale nadto zatrzymali dokumenty w okienku, co niechybnie mogło doprowadzić do areztowania. Jedyne przebiegłości swej Martyn zawdzięczał, że na chwilę zwrócono mu dokumenty do ręki, rzekomo dla wyjaśnienia jakiejś niedokładności. Wówczas Martyn, korzystając z nieprawdopodobnego tłoku, jaki panował przy okienku i na całym dworcu, dał nura i teraz jeszcze rozgląda się, czy go nie gonią. Co do gonienia — niebezpieczeństwo, zdaje

się, już minęło. Jeżeli go nie złapano odrazu — to go już chyba nie zauważą w tym tłumie. Natomiast nie mogło być mowy, ażeby szedł po świadectwo do „sowdepu“ po raz drugi. A więc pozostawić go w Wiatce? — To niemożliwe!

Nagle olśniła mnie zbawcza myśl. Wyjąłem z kieszeni paszport oraz świeżo uzyskane od „sowdepu“ świadectwo i zacząłem je porównywać. Tu i tam figurowało nazwisko Woźniakowski. Natomiast na paszporcie ekspozytura nie umieściła żadnego stempla czy wzmianki, któreby stwierdzały, że raz już takie świadectwo zostało mi przez „sowdep“ wydane. A więc spróbuję dostać na swój paszport jeszcze jedno takie świadectwo i oddam je Martynowi.

Oczywiście, nie idę już do tego samego okienka, gdzie raz byłem, ale do okienka drugiego.

Staję w kolejce, zbliżam się. Wreszcie nadchodzi moja kolej. Tu sprawa nie idzie tak szybko i gładko, jak za pierwszym razem. Wyciągam ruble. Na to pada zapytanie:

— Nazwisko?

— Woźniakowski.

— Zawód?

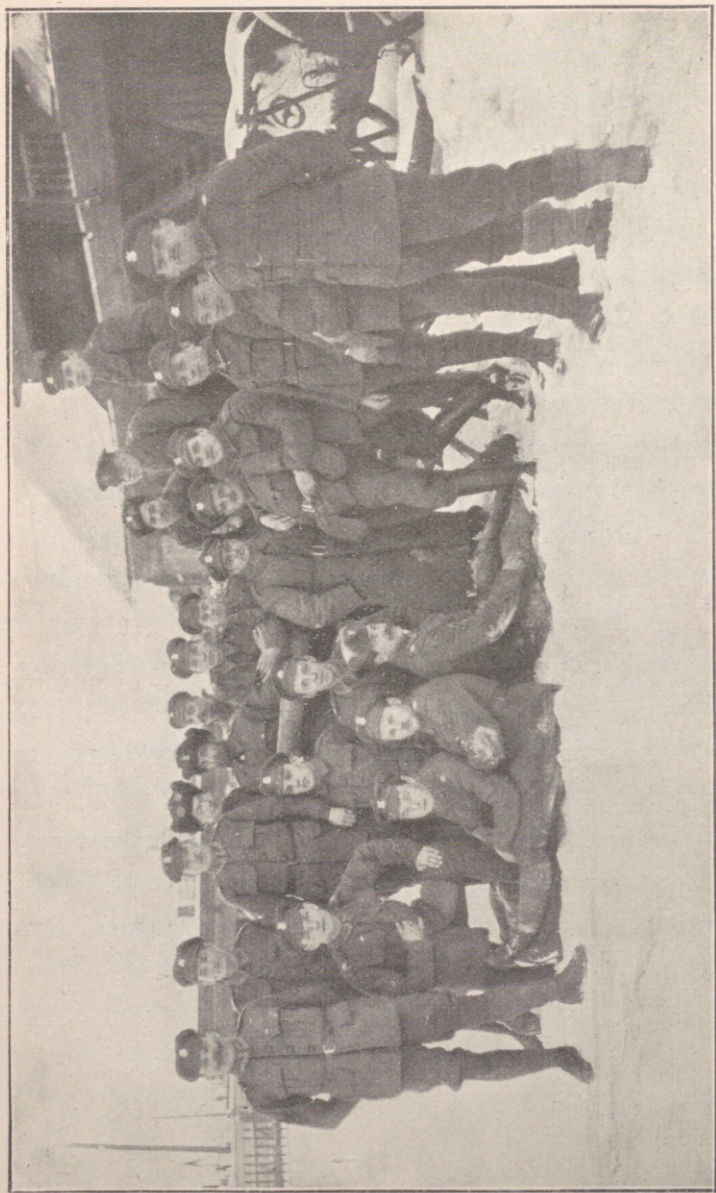
Odpowiadam, kim jestem i skąd pochodzę.

— Dokąd?

- Do Kotłasu.
- Do kogo i poco?
- Tam moja matka mieszka...
- Dlaczego?
- Ja „bieżeniec“ z Polszy i matka też; teraz chcę ją zabrać.
- Czemuście wcześniej nie zabrali?
- Nędza, wiadomo. Bałagan był, dopóki nie było proletarjackiej, sowieckiej władzy...
- Czemuż chcecie do Polszy?
- Wprowadzimy tam też sowiecką władzę.
- Pokaż, *towariszcz*, dokumenty.
- Bierze, ogląda — patrzy na mnie. Wreszcie mówi:
- *Dieńgi!*
- Daję „*dieńgi*“ i porywam upragnione świadectwo.

Pociąg już rusza, gdy wpadam wraz z Martynem do wagonu. Jedziemy.

Biegąc do pociągu, zauważyłem w jednym z wagonów zaniepokojoną twarz Grabskiego. Nieborak myślał już, że z całej partji dotrze na Murman sam jeden.



Murmańczycy w odwodzie (grudzień 1918).

XVIII. KOTŁAS

Mimo, że udało nam się okpić w Wiatce „sowdep“ i kasę kolejową, niebezpieczeństwo bynajmniej nie minęło. Co do mnie, miałem wszystko we względnym porządku, bo paszport mój i moje świadectwo na przejazd były wydane na jedno i to samo nazwisko. Natomiast Martyn miał paszport swój, a świadectwo — moje, i nazwiska się nie zgadzały. Jeżeli przeto ktoś przy kontroli jego dokumentów zechce nazwiska porównać i zwróci na to uwagę, to jesteśmy zgubieni i obaj staniemy „pod stienką“.

Poradziłem mu zatem, ażeby przy kontroli dokumentów pokazał tylko bilet i świadectwo „sowdepu“, a z innemi dokumentami jak najdłużej ociągał się, udając, że się gdzieś zawieruszyły. Liczyliśmy na to, że kontrola będzie zwracała główną uwagę na świadectwo „sowdepu“. Zresztą — co można było zrobić, tośmy już zrobili. Teraz pozostawało mieć nadzieję i liczyć na szczęście. Zajmowaliśmy się liczeniem na

szczęście dosyć długo, bo odległość z Wiatki do Kotłasu wynosi około trzystu kilometrów.

Szczęście jednak dopisało. Wsiadamy na dworcu kolejowym w Kotlasie.

Ma się rozumieć, że w tej chwili każdy ma już w głowie całkiem nową historyjkę na temat celu swojej podróży. A więc moja matka nie mieszka już w Kotlasie, tylko właśnie w Archangielsku, i muszę ją stamtąd zabrać. Martyn musi jechać do archangielskiego portu, bo, jako tragarz i robotnik portowy, musi tam szukać roboty. Grabski — nie wiem co sobie wymyślił, bo nie było okazji zamienić z nim nawet paru słów.

Kotłas jest to niewielkie miasteczko tranzytowe, mające duży dworzec kolejowy i duży rzeczny port na Dźwinie Północnej. Teraz jednak naogół tranzyt i wogóle wszelki handel i ruch, z wyjątkiem ustawicznego krążenia „woreczkarzy“, prawie zupełnie zamarł. Zaznaczał się natomiast ruch, związany z przygotowaniami do stawienia czoła Anglikom i Francuzom. Uwagę moją zwróciło robienie okopów na krańcach miasta przez spędzoną ludność cywilną, która wyglądała przeważnie na miejscowych i okolicznych „burżujów“.

— Co to? — zagaduję jednego z gapiów.

— *Nie znajesz, co to jest? z nieba spadłeś?* — odpowiada wałkoń — toć robią okopy. Francuzi mogą przyjść. Już są w Murmańsku i Koli, a mówią, że Archangielsk już ledwo się trzyma.

— Dobra nasza! — pomyślałem sobie — ale trzeba wobec tego się śpieszyć...

Jednocześnie starałem się zapamiętać zarys i profil okopów. Może się jeszcze zdarzyć, że będę je zdobywał.

Najludniej było w porcie rzeczonym, dlatego też kręciliśmy się głównie nad rzeką. Od czasu do czasu w odstępach pięciu do sześciu godzin odchodziły i przychodziły olbrzymie, jak na rzeczną żeglugę — luksusowe statki, spuścizna po carskiej gospodarce i przedwojennej trosce o komfort na rzece. Przytem widocznie Dźwina Północna jest większą, a przede wszystkim — głębszą rzeką, niż Wołga, chociaż na mapie wydaje się, że jest odwrotnie.

Ostrożnie zagaduję jednego, drugiego i trzeciego „towarzyszcza“, jak to jest z podróżą do Archangielska.

— *Niechoroszo!* — odpowiadają. — Ci wszyscy ludzie, których widzisz, jadą tylko do linii „wojennego kordona“. Do Archangielska nikogo nie puszczają.

— Co za „wojenny kordon“? — zapytuje.

— Wojenny kordon — to posterunki wojskowe na granicy archangielskiej gubernji, które nikogo nie przepuszczają dalej.

— *Ну*, tak ja pójdę o przepustkę do miastnego „sowdepu“ — mówię rezolutnie.

— Nie pomoże! Na przejazd do Archangielska przepustki wydają tylko w Petrogradzie u Cziczerina!¹ *Jeszcze* wydaje takie zaświadczenie *главноуправляющий города Archangielska*; poza tem nikt nie ma prawa pod grozą kary śmierci.

— Ładna historia! — pomyślałem sobie. — Nie pozostaje zatem nic, tylko jechać na gapę!

Najpierw chciałem jeszcze spróbować, czy nie uda mi się na którym z licznych statków, stojących przy brzegu, przekupić kogoś z personelu. Przecież marynarze, mechanicy i bufetowi, jeżdżąc wciąż na tym samym statku, dysponowali jakąś kajutą czy bodaj składzikiem, gdzie mogliby nas za łapówkę ukryć przed okiem kontrolujących komisarzy. Rosja, zarówno carska, jak rewolucyjna, słynęła zawsze z łapówek. Jednak, aby dać komuś łapówkę — trzeba najpierw poznać tego, komu się ją zaproponuje, to

¹ Cziczerin był wówczas komisarzem spraw zagranicznych w rządzie sowieckim.

już znacznie trudniej! Łapówki brali prawie wszyscy, ale nikt nie brał ich jawnie. Nadto urzędnik carski, nie biorący łapówki, spełniał obowiązek i nie robił na tem interesu. Komunista natomiast, odrzucając łapówkę i oddając w ręce „czrezwyczajki“ tego, kto ją zaproponował, robił karierę w „sowdepie“. Z niemałym ryzykiem badam przygodnie włóczące się po wybrzeżu indywidua, czy nigdy nie jeździły do Archangielska, bo tam podobno dobrze płacą za robotę w porcie.

— Nie jeździli — nie puszczają! — powiadają.

— Nu, a przekupić nikogo nie można? — pytam.

Każdy ogląda się z przestachem i odsuwa się ode mnie czem prędzej, nie chcąc prowadzić dalszej rozmowy.

Jakaś baba z kobiałką, o dobrodusznej, wzbudzającej zaufanie twarzy, mówi mi szeptem, oglądając się, czy jej kto nie podsłuchuje:

— Przekupić można każdego, tylko ostrożnie i trzeba dużo płacić.

— Pokażcie mi takiego, kto mnie może przewieźć za pieniądze — idę już na całego i otwarcie.

— Nie mogę pokazać, bom sama nie jeździła, ale byli tacy, co jeździli z naszego siola.

— Kto ich chował na statku?

— Każdy schowa, jak dobrze zapłacić — mówi baba — tylko groszy nado... Westchnęła ciężko i poczłapała gdzieś ze swoją kobiałką.

— A po co ludzie ze wsi tam jeździli? — krzyknąłem jeszcze wślad za nią.

Baba zatrzymała się: — To nie wiesz? Każde dziecko wie: w archangielskich składach portowych armat i broni *widimo* — *niewidimo*. Przez całą wojnę wieźli i wieźli, a kolej ani statki nie mogą nadążyć odwieźć tego dalej, i tak wciąż jest robota z przeładunkiem. Można dobrze zarobić w porcie, a tutaj — głód...

Wszystko to wiedziałem już i przedtem; baba nie powiedziała mi nic nowego, a wskazówek konkretnych nie było skąd zasięgnąć.

Czas uciekał, trzeba więc było szukać łapownika na chybił trafił. Podchodzę do statku z napisem „Gromoboj“.

Wchodzę na pokład — na pokładzie i w kajutach pasażerskich ani żywej duszy. Statek ma odejść widocznie dopiero jutro lub pojutrze. Pasażerów niema, a służba poszła sobie pewno na brzeg. Ale statek jest duży, personel — prawdopodobnie liczny, więc chyba kogo zastanę. Zresztą w danym wypadku rozmowę bezpieczniej prowadzić sam na sam, niż przy słucha-

czach. Dziwne, że niema na statku żadnego dyżurnego, ale cóż — „rewolucyjne porządki“. Stukam na chybił-trafił do kajuty bufetowej — zamknięta na klucz, widocznie niema nikogo. Obok drzwi z napisem „Starszy mechanik“. Stukam — otwierają się. Przede mną marynarz; trudno sobie zdać sprawę, co to za człowiek, nawet, gdy się jest fizjonomistą. Szara twarz barwy ziemi nie wyraża nic, prócz wybitnych skłonności do wódki. Budowa atletyczna. Mechanik jest dobrze odżywiony i cuchnie tytoniem i alkoholem. Widocznie dobrze mu się powodzi, bo kajuta malutka, ale wcale niezła.

Wchodzę rezolutnie i zamykam drzwi za sobą.

— Towarzysz — mówię — muszę być jutro w Archangielsku. Przewieź mnie, a zapłacę pięćset rubli — powiadam bez ogródek, uważając, że im więcej słów i usprawiedliwień, tem większy może być powód do podejrzeń.

— A ty poco w Archangielsku? — pyta mechanik.

— Po co? Pewno, że niema poco — mówię — i niktby tam nie jechał. Ale teraz matka moja tam zachorowała. Piszą, że umiera, żebym przyjechał. Byłem akurat w Wiatce. Ja do predsedatiela tamtejszego „sowdepa“ — tak i tak mówię: *wyruczaj*, towarzysz!

A on mnie mówi: — *Pojeżdżaj!* — i dał mnie ten papierek...

Tu rzuciłem na stół pod nos mechanikowi świadectwo, które dostałem w Wiatce od tamtejszego „sołdatskich i rabocznych deputatów“. To wzbudziło zaufanie.

— Daj tysiąc rubli — to pojedziesz.

— Masz tu dwieście, a osiemset dam, jak dowiesz do Archangielska.

Zawarłszy układ, byłem już pewny swego.

Pozostała jednak sprawa Martyna i Grabskiego.

— Wiesz, towarzyszu, ze mną jadą jeszcze dwaj towarzysze, moje druhy. Musisz ich też ukryć — będziesz miał trzy tysiące rubli.

Zaledwie wyrzekłem te słowa, musiałem ich pożałować. Ale było już za późno, aby je cofnąć. Twarz mego nowego przyjaciela, a zwłaszcza jego oczy, zmieniły się odrazu. Były to oczy bazyliuszka, które wpiły się w moje i usiłowały przewiercić je nawylot. Najgorsze jednak było, iż bolszewik, pamiętając, że byliśmy narazie sami, uznał za stosowne ukryć swe podejrzenia i swoją decyzję zaareztowania nas, co do której już nie miałem najmniejszej wątpliwości. — Jeszcze dwóch? — odrzekł z namysłem, przeciągając sztucznie każde słowo. — Ot co, towarzyszu — rzekł

do mnie tonem decyzji. — Ty tu poczekaj na mnie, a ja pójdę poradzić się z drugim mechanikiem, który śpi w tej samej kajucie. On też się zgodzi, tylko że bez jego zgody nie mogę tego zrobić. I wyszedł.

Spojrzałem na kajutę — było tu tylko jedno posłanie. A więc mechanik kłamał. Poszedł po kogoś, ażeby mnie tem pewniej uwięzić. Postanowiłem dać nura, nie czekając na jego powrót. Gdy ucichły kroki na korytarzu, wypadłem, jak szalony, z kajuty i w mgnieniu oka byłem po za statkiem w najbardziej tłumnym zakątku przystani. Po takiej hecy odpadła mnie wszelka ochota do dalszych rozmów z kimkolwiek. Niema co gadać, tylko jechać i ukryć się na statku, jak się da...

Prostu — jechać na gapę.

Najpierw kupimy bilety do ostatniej stacji rzecznej, leżącej przed linią „wojennego kordona“ — pojedziemy ten kawałek jawnie. W tym czasie poszukamy na statku kryjówki i resztę drogi do Archangielska odbędziemy w ukryciu. Czy uda się — to inna sprawa, ale próbować trzeba.

XIX. JEDZIEMY NA GAPE.

Jedziemy. Minęliśmy już kilka przystanków, oddzielonych od siebie wielkimi przestrzeniami borów i lasów, które pokrywają dość wysokie brzegi Dźwiny Północnej. Mamy jeszcze przez kilka godzin prawo spacerować po dużym statku, wypełnionym „towarzyszami“, co mają bilety, wykupione w Kotłasiu. Te kilka godzin trzeba wyzyskać na wyszukanie kryjówki na statku. Pierwsza połowa dnia zmarnowała się bezużytecznie; narazie na statku było więcej osób, niż teraz, gdy już zbliżamy się do „wojennego kordonu“.

Czekam na nadejście nocy.

Mija wieczór; robi się zupełnie ciemno. Pozostała jeszcze nieliczna reszta pasażerów udaje się na drzemkę do kajut lub układa się do snu na pokładzie. Statek jest bardzo duży; jest wiele miejsc, gdzie możemy w mroku nocy spotykać się z Martynem i Grabskim i szeptem naradzać się nad sytuacją. Martyn radzi

schować się pod którąś ławkę na pokładzie. To na nic! Trzeba obmyśleć taką kryjówkę, żeby nas nie odnaleziono nie tylko w nocy, ale i jutro przy świetle dziennym, do Archangielska bowiem jedzie się z Kotłasu prawie trzy doby.

Cały sęk, jak znaleźć takie miejsce? Wszystkie genialne projekty Martyna i Grabskiego kolejno upadają. Ponieważ niema żadnego dobrego wyjścia, pomysły mnożą się dalej, coraz bardziej nierealne.

Wreszcie — mam! Wleziemy oto na dach, którym jest pokryty mostek kapitana. Mostek jest na tym statku bardzo wysoki i nakryty sporą płaszczyzną dachu; płaszczyzna ta jest niewidoczna z żadnego punktu pokładu, leżącego poniżej.

Zaczęliśmy obmyślać, w jaki sposób dostać się na dach niepostrzeżenie i jak się zachowywać na dachu, aby nie zwrócić uwagi kapitana i jego pomocnika, znajdujących się przy sterze na mostku.

Nagle zrozumieliśmy, że cały ten projekt jest po prostu „do chrzanu“. Statek zahuczał właśnie swą potężną syreną i, zbliżywszy się do przystani, zwolnił bieg, a marynarze, przebiegłszy na zwróconą do brzegu burtę, przygotowali się do rzucenia lin i manewru bosakami.

Jednocześnie kilkunastu pasażerów przeszło rów-

nież na tę burtę. Statek przechylił się tak, że stojący na brzegu ludzie dojrzeliby nas na mostku kapitańskim, ponad wszelką wątpliwość.

A więc i z mostku trzeba było zrezygnować. Oświadczyłem, że wobec tego nie będziemy ukrywali się razem, tylko każdy musi starać się o siebie w pojedynkę, na własną rękę i odpowiedzialność, i że życzę im powodzenia.

Chłopcy rozeszli się po pokładzie w różne strony, a ja bezradnie usiadłem tam, gdzie stałem. Usiadłem na rodzaju ogromnego płaskiego pudła z desek, znajdującego się na tyle każdego statku. W pudle tem łańcuchy, biegnące brzegiem pokładu, łączą się z dźwignią steru. Oparłem rękę na pudle i omal nie wbiłem sobie drzazgi pod paznokieć. Jedna z desek, słabiej przymocowana, odstawała. Zerwałem się na równe nogi i zacząłem bacznie oglądać pudło ze wszystkich stron.

W chwilę potem odszukałem i sprowadziłem zpowrotem swoich podoficerów.

Oderwaliśmy odstającą odeń deskę zupełnie i zajrzeliśmy do wnętrza. W pudle dźwignia steru, poruszana łańcuchami, przesuwała się to w prawo, to w lewo, zależnie od tego, jak sterowano na mostku kapitańskim.

Gdybyśmy położyli się w środku pudła, dźwignia mogłaby nam połamać wszystkie kości. Miałem wrażenie jednak, że, przytulwszy się do burty, można było tego uniknąć i dojechać w ukryciu aż do Archangielska.

Na przystani archangielskiej poczekamy do następnej nocy i wyskoczymy tak samo chyłkiem, jak teraz chyłkiem się schowamy.

Wyczekawszy zatem momentu, kiedy dźwignia steru znalazła się na środku pudła, wczółgaliśmy się do wnętrza i, leżąc, przytulili do burt, ja — do lewej, Martyn z Grabskim — do prawej, oraz umieściliśmy oderwaną deskę na jej poprzednim miejscu.

Przez pierwszy kwadrans nie byliśmy jeszcze pewni, czy dźwignia przy jakimś ostrzejszym zakręcie statku nie pogruchocze nam kości. Ale nie! Kąt odchylenia na prawo i lewo nie przekraczał czterdziestu pięciu stopni. Przy burcie było aż nadto miejsca na podłodze, między nią, a dźwignią steru — coś około trzech czwartych metra.

Natomiast mało było powietrza. Położywszy się nawznak, mieliśmy nad sobą deski na wysokości dwudziestu centymetrów. Natomiast, ułokowawszy się bokiem, leżał każdy ściśnięty między podłogą pokładu a wierzchem pudła.

Poza tem Grabski, który miał słabe płuca i wciąż kaszlał, miał ochotę kaszleć nadal i tutaj. Martyn co chwila zatykał mu usta ręką, ale bezskutecznie. Wreszcie sporządzili obadwaj z chustek i poły płaszcza coś w rodzaju tłumika.

W każdym razie jedziemy na gapę i teraz już dojedziemy na pewno!

XX. KATASTROFA.

Napięcie, w którym żyliśmy przez parę ostatnich dni, zaabsorbowało mnie na jakiś czas zupełnie. Po-
cząwszy od Wiatki, rozum, instynkt i wszystkie wła-
dze podświadomości pracowały bezustannie nad wy-
szukaniem wyjścia to z tej, to z innej sytuacji i nad
przewycięzeniem piętrzących się trudności. Cała ta
praca wewnętrzna stale wymagała odpowiedniego na-
stawienia zewnętrznego. Trzeba było wciąż grać ko-
medję, i to nie na scenie, lecz w życiu, i nie przez trzy
akty, ale przez trzynaście dni podróży, bo tyle ich
już upłynęło od przekroczenia granicy. Każdy z nas
był przeto aktorem i każdy wypracował przez ten czas
swoją system gry. Jednak gra ta zaczęła ciążyć i nużyć
do takiego stopnia, że czasem chciało się zrzucić ma-
skę i zostawić wszystko losowi do rozstrzygnięcia.
Niech się dzieje, co chce, ale niech się to prędzej skoń-
czy!

To też, gdyśmy się znaleźli w ukryciu, odetchną-
łem pełną piersią. Nareszcie można było być sobą.

I to już było bardzo wiele. Wzajemnie nie widzieliśmy się, ponieważ w pudle panowała kompletna ciemność.

Z tej samej przyczyny niewiadomo było, która godzina. Ja nie miałem ani zapalek, ani świecącego zegarka. Martyn wprowadzić je miał, ale żeby go spytać która godzina, trzeba było odezwać się dość głośno, a to już było niebezpieczne. Szeptu nie było słychać: zagłuszał go zgrzyt łańcuchów i trybów mechanizmu sterowego, który mnie oddzielał od podkomendnych.

Raz tylko przemówiłem do nich głośno, nie mogłem bowiem znieść dymu z ich papierosów, ponieważ i tak w pudle było bardzo duszno.

Tak minęło kilka czy też kilkanaście, a może i więcej, niezmiernie długich godzin, urozmaiconych jedynie urywanym, niespokojnym snem.

Im bardziej byłem skazany na unieruchomienie, tem swobodniej i szybciej szybowwała moja myśl. Najpierw przebyła ona ponownie drogę już odbytą, z tą tylko różnicą, że w wyobraźni cała podróż zabrała mi zaledwie parę minut czasu. Potem myśl podążyła naprzód, ku celowi podróży. Przede mną było — *nieznane*. Pociągało ono tak, jak harpun, wbity w ciało wieloryba, ciągnie ku sobie rybaka.

Lecz co to? Na pokładzie, gdzie dotychczas pa-

nowała cisza, słyszymy kroki. Mimowoli zdejmuję mnie przykre uczucie. A może ta kryjówka nie jest jednak tak bezpieczna? Wprawdzie nie powinni nas tu znaleźć, ale jeżeli, mimo wszystko, znajdą, co za pociecha, że stało się to przypadkiem?

Ale nie! — to chyba niemożliwe! Poprosto zrobił się widocznie dzień lub na statku przybyło pasażerów! I, mimo ożywiającego się ruchu na pokładzie, znowu puszczam wodze wyobraźni...

A więc, p r z y p u ś c m y, dojechaliśmy do Archangielska. P r z y p u ś c m y, że wyleziemy z kryjówki niepostrzeżenie. P r z y p u ś c m y, że statek nie będzie już wtedy w drodze powrotnej i nie będzie jeszcze na którejś stacji pośredniej, lecz właśnie w Archangielsku — to jak poznamy Archangielsk, siedząc w tej dziurze?

P r z y p u ś c m y dalej, że wyjdziemy na brzeg szczęśliwie. Co zastaniemy wówczas w Archangielsku? Co nam powiedzą w konsulacie francuskim, dokąd mnie skierował pan Pieniążek?

Gdzie będzie wówczas owe czterdzieści tysięcy desantu i trzydziestotysięczna polska armja pomocnicza?

Jak się przedrzeć wówczas z Archangielska dalej ku swoim?

Tak, muszę teraz skoncentrować myśl nad tem pytaniem, gdyż drogę do Archangielska muszę uważać za odbytą szczęśliwie. Jest to już tylko kwestja czasu — chyba, żeby zaszedł jakiś nadzwyczajny przypadek... I — zaszedł...

Nagle na statku zapanował niezwykle ruch. Uszu naszych dolatywały odgłosy bieganiny, przekleństw i komend. Z pojedynczych, głośniejszych wyrazów wywnioskowaliśmy, że coś się zepsuło i że statek musiał dać kontrparę, żeby nie wjechać na brzeg. Personel statku sprawdza łańcuchy, biegnące na otwartym pokładzie wzdłuż burty lewej i prawej pod ławkami. Krzyczą na kogoś, aby usunął się z drogi.

Pechowa sprawa! Do stu tysięcy djabłów! Żeby nie zechcieli sprawdzać mechanizmu, umieszczonego w pudle! Niestety — czereda ludzi się zbliża, ktoś stąpa już po pudle; ma się wrażenie, że załamia się deski ponad nami, tak trzeszczą niemiłosiernie. Ktoś inny przesuwą, zdaje się, zwoje lin i inne jakieś przedmioty. Są teraz przy desce, którąśmy oderwali wczoraj i umieścili ponownie na miejscu. Zgrzyt odrywanej deski... Fala światła... Chłodny strumień świeżego powietrza — i chóralny okrzyk zdumienia, którego przyczyną są moje nogi, wystające z otworu!...

— A-a-a! *Wylezaj!* — krzyczą nad nami.

XXI. WIDMO STRYCZKA.

Prowadzą nas do kajuty „wojennego komisara“. Wchodząc do niej, mam uczucie, że znów musimy zagrać, jak na scenie. Musimy zagrać koncertowo, inaczej — stryczek. Nie będą długo bawili się z nami. Trzeba więc grać na zwłokę. Może uda się odwlec egzekucję aż do Archangielska?

Wchodzimy, a raczej wpadamy, prowadzeni pod ręce i podpierani ztyłu przez gawiedź. Marynarz, leżący na łóżku, nie raczył się nawet poruszyć.

— Kto taki?

— *Arestowannyje!* — odpowiadają ci, co nas wywlekli z ukrycia.

Pierwszą czynnością komisarza było usunięcie tłumu z kajuty. Zostaliśmy wszyscy trzej wobec niego jednego. Rozpoczęło się śledztwo.

Zeznania nasze nie różniły się stylem i treścią od tego, cośmy uprzednio mówili pierwszemu lepszemu sąsiadowi na ławce statku, bezpośrednio po opuszczeniu Kotłasu. Role swoje znaleźmy napamięć.

— Kto wy?

— Ja — polski adwokat; oni — nie wiem. Spotkałem ich w drodze. Mówią, że żołnierze; jadą szukać roboty...

— Odpowiadaj każdy za siebie! Kto taki? Pocoś się ukrywał?

— Oho! — myślę — już dobrze, że wogóle wdają się z nami w rozmowę! Dobrze też, że komisarz, nie znając elementarnych zasad śledztwa, nie bada nas każdego z osobna. Martyn i Grabski słuchają moich zeznań, i jest nadzieja, że zeznania ich będą zgodne z moimi.

Opowiadam tedy wymownie o tem, że ja, jako „bieżeniec“, mieszkam w Riazaniu, bo tam jeszcze niedawna była dobra praktyka. Matka z siostrą mieszkają w Archangielsku, bo tam tanio. — Samemi rybami żyją, wiadomo — morze i Dźwina. Wogóle — kraina ryb... Sam wiesz o tem, towarzyszu...

— No, dobrze, dobrze — z rezerwą odpowiada towarzysz — a pocoś ukrywał się pod sterem?

— Jechać trzeba, „bieżeńców“ zabrać do Riazania, a to Francuzy i „biełopolaki“ już w Murmańsku. Nie chciał, żeby matka wpadła w ręce kontrrewolucji. A nie ukrywając się — nie dojedziesz; biletu bez przepustki nie sprzedają — dodałem.

Marynarz zadzwonił na kogoś. Weszło kilku drabów. — Zrewidować go! — Rewizja nie wykazała nic, bośmy przezornie nie zabrali niczego, co by mogło zdradzić naszą dawniejszą przynależność do polskich formacyj.

Na nieszczęście prosiłem znajomych w Riazaniu, aby skomponowali list, rzekomo z Archangielska, pisany do mnie z wezwaniem, abym przyjechał. Nie chciałem wówczas, aby list był polski, bo Polaków wtedy specjalnie ścigano i dopatrywano się w nich „legjonierów“. Nie chciałem też, aby był rosyjski, bo nazwisko moje brzmiało Woźniakowski.

Ponieważ więc polityka Sowietów była wówczas wybitnie germanofilska, poprosiłem, aby napisano go w języku niemieckim. Pisała go rzekomo Niemka, zajmująca pokój u mojej matki, a donosząca mi, że matka moja jest ciężko chora i że mnie wzywa.

Obecnie pożałowałem bardzo, że listu tego nie wrzuciłem do rzeki lub, że go choćby nie połknąłem.

Zobaczywszy list niemiecki, zanim go jeszcze odcyfrowano, ogłoszono z triumfem, że jesteśmy „niemieckije szpiony“.

Było to znacznie lepiej, niż uchodzić za „legjoniera“. Niemniej — czekał nas prawdopodobnie też stryczek.

Marynarz, pełniący na statku funkcje „wojennego komisara“, nie był na szczęście szybki i stanowczy w decyzjach i, co najważniejsza, nie był widocznie okrutnikiem, jakimi byli zazwyczaj tego rodzaju funkcjonariusze w ówczesnej Rosji. Pod tym względem mieliśmy wybitne szczęście, że właśnie trafiliśmy na niego. Jako człowiek niezdecydowany i miękki, wdał się w długie rozmowy i indagacje, czegoby nie zrobił żaden inny na jego miejscu. A że wszyscy trzej umieliśmy udawać zdumienie i oburzenie wobec podejrzeń, że nie brakło nam pewności siebie, a nawet pewnego rodzaju arogancji — wątpliwość co do tego, kim jesteśmy i jaki jest istotny cel naszej podróży, istniała nadal.

— Gdzie mieszka twoja matka w Archangielsku? — zapytał wkońcu.

— Białomorska Nr. 12 — odpowiadam prosto z mostu. Nigdy coprawda nie byłem w Archangielsku, ale skoro Białe morze blisko, to może i ulica taka istnieje? Niebawem okazało się, że w Archangielsku istnieje jedynie Białomorski zaułek.

Widocznie jednak marynarz tak samo o tem wówczas nie wiedział, jak i ja.

— Białomorska 12? — powtórzył.

— *Da!*

Komisarz zapisał to zeznanie i oświadczył:

— Powiem wszystkim trzech w Archangielsk, a tam zobaczym...

A więc narazie żyjemy...

Pozwolono nam nawet chodzić po pokładzie, może dlatego, że wszystkie ubikacje, gdzieby można było nas zamknąć, wypełnione jakimś tajemniczym sprzętem, zamknięte były i strzeżone. Miałem wrażenie, że wieziono w nich amunicję dla zagrożonego Archangielska. Mimo to uciec ze statku było tak samo niemożliwe, jakgdyby nas więziono za kratą. Dokumenty nasze bowiem zabrano, a na każdej przystani, gdzie się statek zatrzymywał, posterunki wojskowe i tak nie przepuszczały nikogo bez kontroli, ani na statek, ani też na brzeg.

W pewnej chwili podeszło do nas dwu drabów z karabinami w ręku. — Niedobrze! — myślę. Poprowadzono nas do komisarza i jakiś czas czekaliśmy na jego wyjście z kajuty. Było to w chwili podjeżdżania naszego statku do jakiejś dużej przystani. Niebawem wyprowadzono nas pod eskortą na brzeg. Opodał stał „wojenny komisar“ i rozmawiał z marynarzem, komendantem garnizonu. Z pojedynczych słów, które do mnie doleciały, jak „szpiony“, „Bielomorska 12“, zrozumiałem, że rozstrzyga się nasz los.

Trzeba przyznać, że nasz komisarz wyróżniał się bardzo korzystnie z całej masy komisarzy, których spotykałem w różnych okolicznościach życia i bojów, przedtem i potem. Był to bezwzględnie człowiek ludzki, a w każdym razie przed wydaniem wyroku chciał się upewnić o naszej winie. Odniosłem wrażenie, że spierali się, co z nami zrobić, bo miejscowy komendant miał minę Robespierre'a i zbója w jednej osobie.

Po chwili odprowadzono nas pod eskortą zpowrotem na statek. Oznaczało to, że wyrok poprzedzi jakieś śledztwo i że odbędzie się ono w Archangielsku.

XXII. „POD TWOJĄ OBRONĘ...”

Położenie było o tyle złe, że „czrezwyczajka“ w Archangielsku będzie z pewnością mogła sprawdzić, czy istnieje w tem mieście ulica Biełomorska i kto w rzeczywistości mieszka tam pod numerem 12.

Dobrze natomiast było, że nas nie powiesili odrazu i że nam nie zrobiono nic złego podczas dochodzenia na statku. Pozwolono nam nawet chodzić po pokładzie z obietnicą, że dostaniemy kulę w łeb, jeżeli będziemy próbowali uciekać.

Widocznie gra nasza nie była najgorsza. Moglibyśmy ambicjonować się co do gry w jakiej sztuce teatralnej, gdyby nie to, że w naszej obecnej sztuce zbliżał się właśnie akt ostatni. Bo co do losu naszego po przybyciu do Archangielska — nie było najmniejszej wątpliwości.

Gryząc przeto w dalszym ciągu „siemieczki“ i nadrabiając miną, przypomniałem sobie znane przysłowie: „Kiedy trwoga, to do Boga“ — i w myśl tej

starej a mądrej sentencji począłem modlić się w duchu.

O co się modliłem — trudno sprecyzować: chyba o wszystko naraz. W każdym razie nietyle o uratowanie życia, z którym już się właściwie pożegnałem, ile o ujrzanie choć raz jeszcze pewnych pięknych oczu, których wspomnienie towarzyszyło mi w całej podróży.

Nie szło mi to, coprawda, bo w ciągu minionych burzliwych lat nietrudno było modlitwy zapomnieć, ale próbowałem i, przypominając sobie jakiś zapomniany zwrot, spojrzałem odruchowo w niebo. Spojrzałem — i zdrętwiałem. Na horyzoncie ukazał się samolot, a właściwie — hydroplan, i był już tuż-tuż nad nami. Niebawem usłyszałem furczenie silnika, tłumione hukiem potężnych maszyn naszego statku.

Zdumienie wszelako wywołało nie samo pojawienie się samolotu, lecz to, że samolot należał — do aljantów. Chciało mi się skakać i krzyczeć z radości na widok znaku rozpoznawczego na skrzydłach. A więc rzeczywiście Francuzi i Anglicy są już blisko nas i blisko Archangielska, do którego statek zdąża...

Była to oczywiście radość odruchowa, bo przecież, rozumowo biorąc, nic to naszej sytuacji ulżyć nie mogło.

Tymczasem na rzece zaroilo się. Mijamy jeden statek, za chwilę — drugi, wreszcie — cztery duże statki, jeden za drugim, w odstępach zaledwie kilkuset metrów. Wszystko to jedzie pełną parą od strony Archangielska w kierunku Kotłasu. Jeden z tych statków wiezie podobno cały sowiet Archangielska.

Bolszewicy ewakuują miasto — to jasne jest dla każdego.

W kierunku odwrotnym nie jedzie już chyba nikt, oprócz tych, co się znajdują na naszym statku.

Ale i naszych pasażerów ogarnia lęk na widok powszechnej paniki. Wielu tłoczy się do mostku kapitana i usiłuje wpłynąć na jego decyzję.

Bojaźliwi krzyczą: — *Nazad!* — Śmielsi wrzeszczą: — *W pieriod!* — Ostatnich jest znikoma mniejszość, ale interwenjują energicznie i bardzo głośno, gdyż są to przeważnie ludzie interesu, którym zależy na tem, ażeby dojechać do miasta. Nam też zależy bardzo, ale musimy siedzieć cicho, jako „*arestowannyje*“.

Wkońcu zjawia się na mostku kapitana „wojeny komisar“, przepędza tłum i rozkazuje kapitanowi jechać dalej, według rozkładu jazdy, do samego Archangielska.

Tymczasem rzeka ponownie pustoszeje. Widocz-

nie, kto miał uciec z miasta przed aljantami — ten już uciekł. Dalszych uciekinierów nie widać już wcale.

Do miasta pozostało jeszcze, jak mówią, tylko dziesięć kilometrów. To też po chwili do komisarza podchodzi pokornie delegacja jakiejś grupy pasażerów i proponuje wyjście, które ma zadowolić wszystkich. Oni nie chcą trafić pod ogień armat eskadry aljantów, która może już jest w porcie archangielskim. Niech tedy komisarz każe przybić do brzegu. Kto chce dostać się do Archangielska, niech maszeruje te dziesięć kilometrów lądem. Reszta pasażerów natomiast, wraz z załogą statku zawróci do Kotłasu.

Komisarz waha się. Jeżeli się zgodzi — prawdopodobnie zginiemy „pod stienką“, jako „szpiony“. Jeżeli nie zgodzi się i pojedziemy pod lufy armat pancerników — możemy zginąć od pocisków aljantów. Jest jednak wówczas mała nadzieja, że, zanim statek nasz utonie, zdołamy w zamieszaniu skoczyć do wody i wypłynąć na brzeg. Kogo zastaniemy na brzegu — to już mniejsza; nie trzeba robić przewidywań zbyt daleko idących, bo wówczas szanse na wyjście z tej opresji staną się podobne do szans wygrania miliona na loterji.

Komisarz kazał jechać dalej.

Rozglądam się wkoło. Dźwina jest co najmniej pięć

razy większa od Niemna, a ja przepływałem w swoim czasie tylko przez Ańczę. Kiedyś dopłynąłem wprawdzie do środka Niemna, ale powróciłem stamtąd z wielkim trudem, bo prąd zniósł mnie wówczas ponad ćwierć kilometra wdół rzeki. Przytem płynąłem bez ubrania. „Hardej“, na której nieraz przepływałem Dniestr i Prut, teraz nie było.

Jakkolwiek jest, nie pozostaje nic lepszego, jak czatować na sposobną chwilę, aby skoczyć do rzeki — i niech się dzieje wola Boska!

Rozglądam się po brzegach, są one porośnięte niezmierzoną puszcza. Im dalej na północ, tem drzewostan jest bardziej skarłały, tem mniej osiedli nad rzeką i tem niższe są brzegi. Ma się tutaj wrażenie, że płaszczynna, porośnięta tym karłowatym i najwidoczniej bagnistym lasem, jest zupełnie na jednakowym poziomie z wodą rzeki. — Jeszcze nie tundra, ale coś, jakby jej zapowiedź — pomyślałem sobie, mimowoli wypatrując w przybrzeżnych mchach i zaroślach rogów renifera. Zresztą nie jestem pewien, czy renifery są już w tych okolicach — chyba jeszcze nie.

Do posępnego północnego krajobrazu dostrajała się posępna, mglista i chmurna pogoda, chociaż poza tem było dość ciepło. Kalendarz wskazywał dopiero 2-gi sierpnia.

Zresztą wszystkie te zjawiska i wrażenia świata zewnętrznego nie przenikały w tej chwili w głąb mojej jaźni, lecz odpadały od niej, jak źle przyklejone marki. Jażń bowiem, pod maską zewnętrznego spokoju, wila się w kleszczach troski o życie.

Życie! Co za magiczne słowo! Ile w tem pustki i treści — zależnie od chwili i nastroju człowieka! Czasem wydaje się wstrętne i niepotrzebne, jak pusta bańka mydlana, nęcąca jedynie swoją kolorową powierzchnią. Wystarczy jednak człowiekowi stanąć gdzieś na krawędzi niebytu, a bańka mydlana staje się nagle szczerozłotą krużką szczęścia, z którą człowiek za żadną cenę nie chce się rozstać. Iść pod wodę z kamieniem u szyi lub zawisnąć na tej oto rei — brr! — jakież to nieprzyjemne, tragiczne nawet! W porównaniu z taką perspektywą, co za rozkosz zachować życie i pędzić żywot, wszystko jedno w jakich warunkach, choćby w głębi tej tundry, która się tu gdzieś niedaleko zaczyna! Był to dla mnie w owej chwili ideał. Ma się rozumieć, że ideał ten był złudzeniem, które w razie spełnienia zastąpiłbym natychmiast nowem, doskonalszem i bardziej upragnionem.

Niemniej taka jest psychologia człowieka, któremu grozi śmierć!

Grozi? — To mało. Ja mój stryczek przeżywam od chwili aresztowania. Bo sama egzekucja nie jest ani długa, ani, jak mówią, nieprzyjemna. Tylko że śmierć cielesna musi być zawsze poprzedzona duchowo przez decyzję śmierci — i to jest właśnie trudne i nieprzyjemne, zwłaszcza tu i w takich właśnie warunkach. Wolałbym śmierć na polu bitwy, z bronią w ręku.

Podziwiam, jak mogą znaleźć się naiwni, traktujący na serjo tak zwany materialistyczny pogląd na świat. Człowiek — ów pion i ośrodek świata naziemnego — jest jednym kłębkim nerwów, uczuć, instynktów, pragnień, wierzeń, ideałów i upadków moralnych. Zimny, materialistyczny rozum jest tylko jednym z wielu doradców człowieka w tym tłumie wewnętrznych sprężyn postępowania.

Rozum odgrywa nieraz rolę kłowna w cyrku. Gdy inni zwijają dywany i odnoszą je z areny, kłowny płacze się obok, udając, że on to wszystko spowodował i że wszystko dzieje się tak właśnie, jak on rozkazał. Tylko że człowiek nie chce przyznać się do innych pobudek, niż rozum i interes, i chętnie dopasowuje rozumowe motywy do czynów, spowodowanych przez coś zupełnie innego.

Każdy człowiek nosi swój świat w sobie. Życie jest to suma i przekątna tych wszystkich niematerja-listycznych światów wewnętrznych.

Wszelka nędza jest straszna, ale najstraszliwsza bodaj jest nędza moralna. Cierpienia fizyczne bywają okropne, ale nie dadzą się porównać z cierpieniami moralnemi, podobnie, jak najcięższa praca fizyczna — z wysiłkiem moralnym.

Jak praca lub trening niezbędne są dla sprawności fizycznej, tak potrzeba w życiu pewnych trudności i dramatów, aby dusza otrząsnęła się z leniwej śpiączki i zdobyła na wysiłek, godny człowieka. Każda wojna powoduje kolosalne szkody materialne, ale nikt jeszcze nie zrobił bilansu szkód i zysków w duszach walczących. Nasuwa się wielkie pytanie: czy bilans ten wypadłby ujemnie, czy też dodatnio? Wojna o celach, dla których warto umrzeć, jest szkołą charakterów. Szkoda tylko, że szkoła ta jest nieco za trudna. Ludzie hartują się w niej, albo odwrotnie: załamują i marnieją do reszty.

Cała rzecz, żeby się dziś nie załamać. Trzymaj się, panie poruczniku! A czy nie załamią się Martyn i Grabski? Gdyby tak podeszli do „wojennego komisarza“ i powiedzieli, wskazując na mnie: — Towarzy-

szu, ja go znam; to oficer 1-go polskiego pułku ułanów... — Uratowaliby swoje życie. Postąpiliby „rozsądnie“. Czemuż więc tego nie robią?

Bo materialistyczny pogląd na świat jest bujdą!

XXIII. U C E L U.

Nagle statek zaczął zwalniać biegu, wreszcie — stanął. Jakiś pasażer-krasnoarmiejec, wracający z urlopu, wpatrując się w horyzont, wykrzyknął: — Tam, tam! eskadra!... — I rzeczywiście, na horyzoncie prócz wież i szczytów domów Archangielska, które przed kilku minutami zaczęły już majaczyć we mgle, widać było również dymy, przypominające dymy okrętów wojennych, jakkolwiek floty nie można było zauważyć.

Wszyscy pobiegli na przód statku. Posypały się uwagi i lamenty. Marynarze naszego statku uspakajali pasażerów. Twierdzili oni, że wielkie okręty wojenne nie mogą zapuścić się w rzekę, nawet tak głęboką jak Dźwina, dalej, niż do portu archangielskiego, który jest przystosowany do miary największych oceanicznych okrętów. Dlatego narazie jeszcze statek jest bezpieczny. Natomiast dalej jechać jest ryzykiem, ponieważ dostajemy się w sferę skutecznego ognia artylerji morskiej.

To też „wojenny komisar“ po raz drugi wchodzi na kapitański mostek i wydaje kapitanowi jakieś rozkazy.

Zawracamy! Zatem ostatnie szanse dotarcia do celu upadają!

Ale podróż nasza obfituje w dziwne perypetje, więc znów w ostatniej chwili następuje nieoczekiwany zwrot. Stoję właśnie na prawej burcie statku, tymczasem po przeciwległej stronie stało się coś ciekawego. Wszyscy pasażerowie przebiegają na lewo. Przepycham się przez tłum i widzę tuż obok nas na rzece niewielki morski okręcik białomorskiej eskadry sowieckiej. Okazuje się, że bolszewicy, uchodząc z Archangielska, zatopili w porcie wszystkie swoje duże morskie okręty, z wyjątkiem małego poławiacza min, czyli trawlera, który stoi właśnie teraz tutaj i ściąga uwagę gapiów.

Niebawem między naszym komisarzem a kometendantem trawlera zaczyna się ciekawa rozmowa. Znaleźliśmy się niejako na froncie działań bojowych i kometendant trawlera wydaje naszemu komisarzowi jakieś rozkazy. Słuchamy.

— Co się dzieje w Archangielsku? — pyta nasz komisarz.

— *Nie mieszaj!* (nie przeszkadzaj!) — odpowiada

marynarz, komenderujący trawlerem, i zaczyna obserwować horyzont przez lunetę.

— Mam na pokładzie pasażerów — mówi komisarz — oraz aresztowanych szpiegów. Pasażerów wysadzę na ląd; sam ze statkiem i jego załogą wrócę do Kotłasu. Co robić ze szpiegami?

— *Nie mieszaj*, taki synu! — i znów milczenie. Wreszcie komendant wydaje na swym stateczku załód jakieś rozkazy, a potem krzyczy do naszego komisarza:

— Zaraz przeprowadzimy rozpoznanie!

Przez jakiś czas widzimy go, jak w dalszym ciągu obserwuje w milczeniu podejrzanę dymy pod Archangielskiem.

Chwila ciszy i męczącego oczekiwania. Jak to dobrze, że nie mają czasu na rozmowę o losie szpiegów!

Wreszcie znów słyszymy głos komendanta, tym razem w tonie bojowego rozkazu:

— Podjeżdżamy pod sam Archangielsk, celem zbadania sytuacji. Ty pojedziesz ze swym statkiem pasażerskim naprzód, ja zaś będę podążał o dwieście kroków z tyłu za tobą.

— Aha, draby! — pomyślałem sobie — chcecie się osłonić nami, w nadziei, że aljanci nie zechcą strze-

łać do statku cywilnego, wypełnionego kobietami i dziećmi!

Tak też się stało. Podjechaliśmy bez przeszkód całkiem blisko do przedmieść, pomimo że kominy i wieże pancerników można było rozróżnić już gołym okiem.

Eskadra stała na rzece w morskim porcie o jakieś kilka kilometrów od nas, ale rzeczny port zaczynał się tuż-tuż. Trzeba wiedzieć, że Archangielsk, zbudowany na torfiastej, podmokłej płaszczynie, leżącej nad Dźwiną, rozrósł się nie wszerek, ale wzdłuż. Jest to wąska i długa kiszka, wyciągnięta wzdłuż rzeki. Mimo, że liczbą mieszkańców nie przekracza zwykłego rosyjskiego gubernjalnego miasta, długość jego wynosi blisko dziesięć kilometrów. Wskutek tego, będąc jeszcze daleko od portu morskiego, znaleźliśmy się już na wysokości peryferyj miejskich. Wzdłuż prawego brzegu rzeki ciągnęły się niezliczone ilości tratw, barek, łodzi, składów i tego wszystkiego, co charakteryzuje wielką, rzeczną przystań olbrzymiej rzeki.

Na brzegu — wciąż jeszcze żywego ducha. Wojska z tej czy tamtej strony tu nie było, a ludność widocznie się pochowała w oczekiwaniu bitwy. Centrum miasta wraz z głównym portem ponad wszelką wątpliwość musi się już znajdować w rękach aljan-

tów, a zatem rozpoznanie zostało właściwie zakończone. Z całą pewnością zaraz każą statkowi zawrócić, i wówczas już znajdzie się czas na rozmowę o „szpiegach“...

Obejrzałem się wstecz. Morski trawler, uzbrojony bądź co bądź w działą, nie był tak odważny, jak nasza bezbronna łupina. Wbrew zapowiedzi, że będzie podążał za nami zaledwie o dwieście kroków, przezornie trzymał się ztyłu o jakieś półtora kilometra. Stamtąd dawał jednak naszemu komisarzowi jakieś nieznane mi sygnały, które widocznie zmusiły go do wysunięcia statku na tak eksponowane stanowisko.

Lecz oto zwalniamy biegu. Pewnie zaraz zaczniemy zawracać, nie czekając na ogień eskadry aljantów. Niestety, skok do rzeki w tych warunkach nie rokuje najmniejszego powodzenia i nie miałby żadnego sensu. Trzeba będzie z tego zrezygnować i czekać. Na co czekać? Niewiadomo. Przyznam się, że ostatni, rachityczny skrawek nadziei opadł ze świadomości tak, jak ostatni pożółkły liść opada z obumarłego drzewa...

Nagle — co to? Nie chce się wierzyć własnym oczom! Przy brzegu rzeki zahuczał potężny silnik. Na statku zapanowała panika. Kilku krasnoarmiej-

ców archangielskiego garnizonu, powracających statkiem z urlopu do swych oddziałów, rzuca broń. Biegając w różnych kierunkach po pokładzie, szukają teraz gorączkowo miejsca, gdzieby można się było ukryć; wreszcie pobiegli, a raczej stoczyli się po schodkach kajuty. Przebiegłem na burtę statku, która znajdowała się od strony przystani Archangielska, i zobaczyłem coś, co mi przywróciło największy skarb człowieka — nadzieję.

Szeroką i zupełnie pustą jeszcze przed sekundą taflę rzeki pruka teraz z niezwykłą szybkością duża łódź motorowa, płynąca od brzegu w kierunku dziobu naszego statku. Łódź była wypełniona uzbrojonymi od stóp do głów ludźmi, a dwa karabiny maszynowe, z założonemi wstęgami naboju, gotowe do strzału i wycelowane na statek nie pozostawiały najmniejszej wątpliwości co do zamiarów załogi. Łódź ta wyskoczyła z poza barki, stojącej przy brzegu, i dlatego zaskoczyła statek zbliżając się.

Czy tylko statek jej się podda? Targnąwszy Martyna za rękę, zacząłem obiegać pokład, aby wytrącić w razie potrzeby broń z ręki tym, którzyby się chcieli bronić. Takich jednak nie było.

Na statku zapanowała kompletna dezorientacja. Około trzystu ludzi, jadących nim, nie zdecydowało

się stawić czoła kilkunastu zuchom, którzy, stłoczeni na łodzi motorowej, stanowili doskonały cel dla ognia paru bodaj karabinów. Obejrzałem się na trawler — był już prawie o dwa kilometry od nas. Ostrzelać stamtąd łódź i nie trafić przytem w nas — byłoby bardzo trudno, zwłaszcza, że łódź była szybka, mała i zwrotna, a umieściła się tak, iż statek znalazł się pomiędzy nią, a trawlerem.

— Statek — za mną! — wykrzyknął komendant łodzi, a po chwili dodał, że kapitan odpowiada za to swoją głową.

To też kapitan drżącym głosem wydał odpowiednie rozkazy, i niebawem pełną parą wjechaliśmy do właściwego portu archangielskiego, poprzedzani przez zbawczą łódź, która prowadziła nas za sobą, mocą wycelowanych karabinów maszynowych. Komisarz schronił się do kajuty, aby się więcej nie pokazać.

Opodal stała na kotwicach w całej okazałości eskadra bojowa aljantów. Widać było nawet ubiory i twarze marynarzy francuskich i angielskich. Witano nas zdaleka owacyjnie.

Widocznie nie zorientowano się, że statek nie przybył dobrowolnie, lecz został właściwie wzięty do niewoli. Optycznie trudno to było zauważyć, gdyż malutka stosunkowo łódź motorowa zupełnie ginęła

przy potężnym kadłubie naszego statku. Na jakimś krążowniku podniesiono powitalną flagę.

Coprawda, na naszym statku, w miejscu czerwonego sztandaru, który przed chwilą jeszcze powiewał na rufie, wykwitła ku mojemu zdumieniu trójkolorowa chorągiew o barwach carskich. Wszyscy pasażerowie bez wyjątku — rzecz charakterystyczna dla stosunków rosyjskich — przedzierzgnęli się z bolszewików — w „białych“, ale skąd wzięła się ta chorągiew? Kawał szmaty trudniej jest przefarbować, niż przekonania, w tym kraju. Widocznie była na składzie „na wszelki wypadek“.

Ale mniejsza o Moskali. Padamy sobie z Martynem z radości w objęcia. Nadbiega i Grabski; winszujemy sobie nie tylko ocalenia, ale i tego, żeśmy dotarli do celu, i cieszymy się, jak dzieci. Zachowuję się mniej więcej tak samo, jak wtedy, gdy, mając lat pięć, dostałem od świętego Mikołaja na gwiazdkę statek. Z tamtym dziecinny stateczkiem nie mogłem się rozstać przez cały tydzień. Z tym statkiem, który omal nie stał się naszym grobem, rozstajemy się z rozkoszą. Porzucamy go, aby pędem udać się do francuskiego konsulatu dowiedzieć się, gdzie są nasi, i natychmiast do nich podążyć.

Za chwilę z karabinami w rękę i nabojami we

wszystkich kieszeniach — bo rynsztunku narażenie za-
brakło — maszerujemy ulicą Archangielską w szere-
gach polskiej kompanii kapitana Sołdkowskiego.

Brak Romera, Starzeńskiego i reszty krechowia-
ków, którzy udali się na Murman; nie wiem, co się
z nimi w drodze stało.¹ Obok mnie maszerują podpo-
rucznicy: Sosnowski, Burhardt, Gedgowd, Rafalski,
Hoffner, Truczka i Eugenjusz Małaczewski, a w dal-
szych szeregach podoficerowie: Martyn, Grabski,
Baranowski, Zahorski, Lisowski, Stempkowski, Ryb-
czyński i inni. Są tu żołnierze z legionów, z korpusów
I, II i III, z armji niemieckiej, rosyjskiej i austriackiej.
A jednak stanowimy już jedną, zwartą bryłę mor-
alną, której tworzywem jest ż o ł n i e r z p o l s k i.

Jesteśmy czymś w rodzaju legji oficerskiej, gdzie
co trzeci żołnierz jest oficerem. Dopiero porucznik
Wilczyński dostał zaszczytu dowodzenia sekcją.
Mimo to, gdybym kiedykolwiek został nawet do-
wódcą korpusu kawalerji, nie ucieszyłbym się chyba
tak dalece, jak przy owym awansie z porucznika uła-
nów na szeregowca piechoty.

¹ Dopiero o wiele później dowiedziałem się, że rotmistrz Romer i Sta-
rzeński wraz z towarzyszącymi im ułanami zostali rozstrzelani w drodze,
a porucznicy Płużański i Lipski — uwięzieni, lecz zdołali się uwolnić, po-
czem wstąpili do formacyj polskich nad Donem.

Okazuje się, że generał Mazowiecki — to nikt inny, jak dowódca II brygady legjonów, brygadjer Józef Haller. Żałujemy, że nie dowodzi on tutaj osobiście, lecz tworzy armję we Francji — widocznie to jest ważniejsze. Wyjaśniają mi, że we Francji nowa polska formacja wynosi już około trzydziestu tysięcy ludzi. A więc pan Pieniążek miał rację, tylko omylił się co do miejsca. Tutaj, prócz naszej kompanji, są jeszcze dwa oddziały na froncie działań bojowych i jeden oddział na tyłach, w porcie Murmańsku. Ogółem stanowi to kilkaset ludzi pod wodzą majora Skokowskiego, którego szefem sztabu jest kapitan Szul-Skjöldskrona. Polskim attaché wojskowym przy dowództwie desantu jest pułkownik sztabu generalnego Dowoyno-Sołłohub.

Prawie każdy z moich nowych towarzyszków broni wy dostał się z oddechu rewolucji, niby Jonasz z paszczy wieloryba. Są to historie przedziwne, a każda jest inna. Można by pisać całe tomy o pierwszym okresie legendy murmańskiej.

A teraz mamy przed sobą okres drugi — boje na froncie archangielskim.







10004
19